listy czytelników

SPOTKANIE

ODGŁOSY

ROK XIX NR 13 (955) 25 MARCA 1976 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

OBLICZE KAPITALIZMU (II)

KRZYSZTOF POGORZELEC

MAFIA

Kto, komu, ile dał? Te pytania, odmieniane na różny sposób, obiegają dziś całą światową prasę przy okazji ujawnienia łapówkarskiej afery Lockheed Aircraft Corporation, a kamyczek pociągnął za sobą lawinę: na czarną listę przekupujących wpisywane są coraz to inne wielkie koncerny i korporacje — NORT-HROP CO, MC DONNELL DOUGLAS, GULF OIL, UNITED BRANDS, EXXON, MERCK, ASHLAND OIL. Powiedzmy sobie jednak szczerze: kryminalny wątek tej afery (przedstawiliśmy go w poprzednim nr „Odgłosów") interesuje nas tylko i tyle, że ukazuje skrzętnie ukrywaną stronę funkcjonowania wielkiego kapitału, tzw. gospodarki wolnorynkowej. Bo i to jest ledwie ułamkiem znacznie istotniejszego problemu: roli którą chciałyby odegrać we współczesnym świecie kapitalistyczne olbrzymy — międzynarodowe korporacje.

ISTOTA CZY MARGINES?

Właśnie. Czytelnik zagranicznych publikacji w tzw. kolorowej prasie, w tygodnikach typu **„Sterna", „Time'a", „Spiegla"** śledząc prawdziwy potok rozmaitych enuncjacji, komentarzy i artykułów drobiazgowo wałkujących nie co innego, jak tylko właśnie kryminalne praktyki wielkich korporacji, mógłby dojść do wniosku, że łapówkarska afera jest sednem problemu.

Nic bardziej fałszywego.

Korupcja, finansowe malwersacje, oszustwa podatkowe to w istocie, prawda, że spektakularne, ale jedyne tło działania wielkich ponadnarodowych koporacji kapitalistycznych. Dostrzegli ten fakt nie tylko politycy i ekonomiści świata socjalistycznego, lecz również wielu wybitnych przedstawicieli nauki, publicyści z Zachodu odżegnujący się od socjalistycznej doktryny, czy nawet lewicujących sympatii. Przykłady można by tutaj mnożyć przywołując na świadków choćby takie osobistości, jak **Jean-Jacques Servan-Schreiber** („Wyzwanie amerykańskie") czy też **C. Wright Mills** („Elita władzy"), który w swojej **„The Power Elite"** m.in. stwierdził:

„Sprawa nie sprowadza się do tego, że zdeprawowana jest administracja korporacji... Rzecz w tym, że tzw. wyższa niemoralność stanowi nieod-

Dalszy ciąg na str. 3

SZKOŁA I ŻYCIE (II)

EWA OSTROWSKA

MOJE DZIECKO JEST NAJLEPSZE

Rodzice swoich przeważnie uzdolnionych pociech, babcie, ciocie, wujenki, stryjenki, nie wspominając już o dziadkach — przy różnych okazjach i bez okazji ze znawstwem rozprawiają o szkole, systemie wychowania, metodach nauczania. Wydają opinie, komentują, sądzą. Składają skargi, zażalenia, nie gardzą też donosikami. Cel uświęca środki. Pan od fizyki „uwziął się" na Jasia, a polonistka — na wrażliwą Małgosię. Każda ocena negatywna w niektórych rodzinach przyjmowana jest jako osobista krzywda, niesprawiedliwość, cios dla rodzicielskich ambicyjek.

Rodzina ucznia do potężna armia opiniodawców szkoły na co dzień. Rzeczywiście, można dostać kompleksu, gdy się o niej pomyśli. Można by i popaść w chorobę nerwową, gdyby potraktować serio wszystko to, co rodzina powiada na temat szkoły. I czego od niej żąda.

TRZY PRZYKŁADY

PRZYKŁAD PIERWSZY:

Wywiadówka w piątej klasie szkoły podstawowej.

Klasę tę uważa się powszechnie za przełomową w szkolnym życiorysie ucznia. Dotąd „maluch" przekracza swój pierwszy próg do „dorosłości", przechodzi do grupy „starszych". Upraszczając, można ująć to następująco: na klasie piątej kończy się okres przygotowawczy jakby wdrażający do nauki, a zaczyna się prawdziwa nauka. Jakby nie ujmować — stopień trudności w klasie piątej jest duży, zwielokrotniony i potykają się na nim często najlepsi uczniowie.

Dalszy ciąg na str. 7

REPORTAŻ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CAŁA POLSKA W TOMASZOWIE

Można by zacząć z dreszczykiem:

Drugiego marca bieżącego roku czarna „wołga" prasowa z dziennikarzem, fotoreporterem i młodym, przystojnym kierowcą, ruszyła we wczesnych godzinach rannych z Łodzi do Tomaszowa. Mżyło. Dziennikarz ziewał, fotoreporter przeglądał „Dziennik Popularny", radio emitowało zniekształcony fadingiem beat. Szalejące w nocy wietrzysko dawało z wolna za wygraną; dym z kominów falował jeszcze, ale drzewa stały prosto. Żadnych szkód. Dopiero dwadzieścia pięć kilometrów przed Tomaszowem, w Łaznowskiej Woli, która jest wioską senną i niewielką, pasażerowie „wołgi" drgnęli na widok leżącego na boku, tarasującego lewą stronę szosy konia. Z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wyminęli tego konia, ale dziennikarz polecił zatrzymać wóz i zawrócić. W chwilę później fotoreporter wysiadł z wozu i zaczął robić zdjęcia, podczas gdy dziennikarz zagadnął stojącego obok chłopa:

— Potrącił go samochód?

— **Nie** — powiedział chłop, patrząc ponad trupem konia na słup wysokiego napięcia. Zerwany drut wił się niebezpiecznie w rowie obok szosy. — **Zabił go prąd.**

Dziennikarz zobaczył nogę fotoreportera w bezpośrednim sąsiedztwie drutu. Przeraził się i krzyknął:

— Uważaj!

I pomyślał: Ty robisz konia, a później ja wezmę aparat i zrobię ciebie.

KONIEC DRESZCZOWCA.

Czarna „wołga" krąży już tomaszowskimi ulicami. Tomaszów jest w pewnym sensie miniaturą Łodzi. Stare domki, niższe, ale podobne. Teren płaski, bez architektonicznych ozdobników. Dwa nowoczesne osiedla blokowe, rozciągające z jednej strony granicę miasta po nie zabudowane dotąd pola, a z drugiej nad brzeg Pilicy. Pięknie tam. Wiosną będzie jeszcze piękniej. Bliskość rzeki sprawia, że ci, co mają szczęście wprowadzić się do tych jasnych, wyposażonych w gorącą wodę i gaz czteropiętrowców, czują się jak w ośrodku wczasowym. Ci w śródmieściu zazdroszczą. Dl trzeba czekać na mieszkanie? Długo. Robi się coś, żeby przeobrazić dzielnicę centralną? Nie robi. Zatem Tomaszów przestanie być miniaturą Łodzi. Łódzkie śródmieście pnie się w górę i rozgęszcza, łapie oddech na szerokich arteriach. Tomaszów egzystuje w śródmieściu bez zmian.

No, są oczywiście zmiany w strefie handlu i kultury. Wiele ładnych obiektów przybyło: Dom Towarowy, Delikatesy, magazyny konfekcyjne, salon PEWEX-u; cztery Domu Kultury pod egidą miasta i przemysłu, kino, muszla koncertowa, można by jeszcze wyliczać...

Tomaszów nie jest miastem frywol-

Dalszy ciąg na str. 8

Jerzy Wawrzak SZTUKA I ŻYCIE

Jerzy Putrament jest człowiekiem znanym. Wybitny pisarz cieszy się zasłużoną popularnością jako autor wielu książek stanowiących trwały kanon współczesnej literatury. Jest także aktywnym działaczem od dziesiątków lat; partyjnym (członek KC, uczestnik wszystkich siedmiu Zjazdów partii), a także związkowym (wiceprezes ZG ZLP). Ma także swój organ, tygodnik „Literatura", gdzie publikuje swój cotygodniowy felieton. Często też widujemy Putramenta w telewizji. Wydawać by się mogło, że te niezliczone okazje i możliwości spowodowały, że Putrament powiedział już w s z y s t k o co miał do powiedzenia o sobie i sprawach, które go interesują. A jednak nie!

Otóż znalazłem w praskim „Miesięczniku literackim", organie Związku Pisarzy Czeskich wypowiedź Jerzego Putramenta, która wydaje mi się b. ciekawa i ważna, ze względu na jakiś nowy, bardzo osobisty i szczery ton wypowiedzi pisarza — instytucji. Nie ma w niej właściwie rewelacji, ale jest c o ś, co skłania mnie do przytoczenia obszernych fragmentów w tej rubryce.

Oto, co pisarz mówi o swojej najlepszej (jeśli ma sens takie wartościowanie) powieści „Bołdyn" i o swoim stosunku do ostatniej wojny, walki zbrojnej widzianej z perspektywy jednostki...

„Gdy pisałem „Bołdyna", pragnąłem sięgnąć głębiej do problemu psychologii siły. W podejściu do problemu istniały dwa punkty widzenia — niektórzy pisali najpierw panegiryki a potem paszkwile. Ja jednak pragnąłem wyrazić mechanikę psychologii indywidualności, przeciążonej odpowiedzialnością i codziennie stojącej przed zasadniczym decydowaniem, odpowiedzialnością za życie tysiąca istnień. Powieść ta zadowala mnie i myślę, że napisałem na jej kartach wszystko, co potrzebowałem z mego punktu widzenia i z punktu widzenia naszego czytelnika. Nie jest to powieść o człowieku „godnym", lecz o konkretnym człowieku, często przeciążonym ponad granice możliwości, niezmiernie ciężką odpowiedzialnością. Przeżyłem wojnę, tkwiłem w niej tak długo, że wiem, jak wiele tacy ludzie potrafili dokonać, jak dzielnie umierali za zwycięstwo nad faszyzmem. Za swój ideał! Był to ideał społeczeństwa przyszłości, rzeczywiście uwolnionej od wyzyskiwaczy. Przeżywaliśmy ten problem, wiedzieliśmy o nim, lecz nikt o nim nie napisał. Myślałem i myślę nadal, że przeżyłem wystarczająco dużo, by ująć w słowa jako próbę prozy tę tak ważną problematykę. Gdy pisałem powieść, myślałem o konkretnym człowieku, lecz książka nie jest jego biografią. Zaś okoliczność, że na Zachodzie nie było chęci do tłumaczenia tej powieści, oznacza, że napisałem ją o naszych rzeczywistych problemach i dla naszych ludzi. Że dla nich pragnąłem rozstrzygać nasze sprawy. Naprawdę cieszy mnie, że książka, którą uważam za najlepszą ze wszystkiego, co napisałem, wydana została u Was. Wiecie, koniecznym jest wciąż rozumieć, czym była wojna, że wojna wygrana tylko przez połączenie milionów mózgów i rąk ludzi aż nienaturalnej odwagi i że wszystkim tym musiał ktoś kierować — partia, lecz że i nawet najlepsi przywódcy byli tylko ludźmi i udźwignęli, co mogli, lecz nie więcej. Również zwycięstwo w takiej wojnie, jaką była ta ostatnia, było osiągnięte pokonywaniem błędów i trudności po naszej stronie. Takie było życie. Było to arcyciężkie życie i tylko dzięki niemu dziś jesteśmy tutaj".

Pisarz i działacz nie uchyla się od ocen, wypowiada słowa gorzkie, ale prawdziwe w swej ogólnej wymowie. Nie oszczędza młodych, nie kokietuje ich...

„...Nie mogę zostać obojętny na pewne cechy, zwłaszcza u młodych pisarzy, którzy są inni niż poprzednio. Wielu z nich bez wątpienia jest dobrych. Lecz część spośród nich próbuje pisać jak na Zachodzie, robią co mogą, ale na jakie sukcesy mogą liczyć? Piszą antypowieść? U nas, w Polsce ludzie tej antypowieści nie czytają, jest to więc hermetyzm życia i twórczości. Gdy pisarza nikt nie czyta równa się to jego śmierci. Zaś inni są, powiedziałbym „materialistami", lecz ci znają tylko życiowe efekty, czasem rozumieją i współczesność w poważnych rozmiarach, ale często są naturalistami. Są pełni fizjologizmu. Ci są często czytani. I trzecia grupa młodych i najmłodszych autorów; często są oni zwolennikami partyjnego podejścia literackiej twórczości, o większych ambicjach niż oba poprzednie prądy, gdyż zajmują się problematyką społeczną bez zamiarów uchybienia jej".

Putrament mówi o sobie, o ludziach swego pokolenia. Któż lepiej od niego może znać sytuację w (zwłaszcza warszawskim) literackim tyglu?

Ostatnio, na pewnej naradzie wysokiego szczebla występowałem dość jednoznacznie. Putrament trochę mnie zjechał za takie widzenie, rzeczywiście skomplikowanych, zjawisk. Wtedy mnie nie przekonał, zresztą nadal uważam, że miałem rację, ale gdyby mi przyszło ponownie sformułować swoje poglądy, byłyby one na pewno bardziej pogłębione. Zauważmy jak oryginalnie, bo od drugiej strony, patrzy pisarz na starą antynomię środowiskową: młodzi — starzy...

„...Wiecie, mam już sześćdziesiąt pięć lat, młodszym już nie będę i wiem, jak ważnym jest, by nie zestarzeć się bez złości do młodszych. Staram się o to i myślę, że to potrafię. Lecz ileż nietolerancji jest dookoła mnie! Ci starzy są po prostu starzy, przecież jest to naturalny biologiczny bieg życia. A przecież stale myślą sobie, że oni są „najˮ, i „najˮ, że do nich należy prawo, że wszystko mogą, że ci młodsi muszą tylko słuchać i nadsłuchiwać. Mówię — nic podobnego, jest to całkowicie niewłaściwe podejście do młodych. Musimy nauczyć się wymagającej tolerancji, oczywiście bez ustępowania z zasadniczych klasowych, ideowych pozycji. Z pozycji dnia dzisiejszego, których broni nasza partia robotnicza we wszystkich dziedzinach naszego życia. Ale przeszkadzać młodym — w żadnym wypadku. Przecież pracuję nie dlatego, że chcę pracować, lecz dlatego, żeby przez pracę coś osiągnąć".

Przytoczę jeszcze jeden fragment wypowiedzi dla praskiego miesięcznika, o stosunku twórcy do rzeczywistości, do swego czasu. Sporo na ten temat nawarstwiło się nieporozumień, fałszywych mitów. Putrament rozprawia się z nimi dość prosto, ale przekonywająco:

„...Występuje u nas wśród autorów jak gdyby swego rodzaju życzenie — gdybyś był żył w ciekawych czasach. Tak, rozumiem, że jest potrzebny pewien dystans od wydarzenia do jego literackiego ujęcia, jego artystycznego wypowiedzenia, jego filozoficznego zrozumienia. Często trudno jest to znaleźć. Czy oznacza to, że dopiero przyszłe czasy będą ciekawe? Lub, że ciekawe były tylko te minione? Jak się to stało, że wówczas powstała literatura klasyczna? Ta przecież także powstawała w „nieciekawych czasach". Jej autorzy i to jest naszą dumą, dumą naszej walki narodowej, po prostu żyli dolą ludu, który codziennie walczył o postęp. Nie wyrzekali się niczego z jego wysiłków, na odwrót, wspomagali je swoją twórczością. Jest to obowiązek także i naszej współczesnej literatury".

I moja refleksja na zakończenie, subiektywna i osobista, może jako usprawiedliwienie zabiegu, jakiego dokonałem. Wywiad Jerzego Putramenta o n a s z y c h sprawach dla czytelników bratniego kraju narzucał z konieczności formułę kondensacji i daleko idące uogólnienia. Kiedy zaś rozmawiamy m i ę d z y sobą, często gubimy się w konkretach (mniej lub bardziej ważnych), ulegamy przemożnemu ciśnieniu czasu teraźniejszego, zatracamy perspektywę, lawirujemy po opłotkach — zamiast się trzymać sedna sprawy. A tak właśnie postąpił Putrament wypowiadając się przed innną publicznością. I dlatego też postanowiłem fragmenty jego wypowiedzi przenieść na łamy naszego tygodnika.

INFORMACJE

WYBORY

W dniu 21 marca br. odbyły się wybory do Sejmu PRL i do rad narodowych stopnia wojewódzkiego. Liczba osób uprawnionych do głosowania wynosiła 24.069.579. Oddano 23.652.256 głosów, w wyborach do Sejmu wzięło więc udział 98,27 proc. wyborców. Głosów ważnych oddano 23.637.333. Liczba głosów nieważnych wynosi 14.923. Na listy kandydatów Frontu Jedności Narodu oddano 23.502.983 głosy, tj. 99,43 proc. ważnie oddanych głosów.

Państwowa Komisja Wyborcza stwierdza, że w wyborach do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w dniu 21 marca 1976 r. we wszystkich okręgach wyborczych wzięło udział więcej niż połowa uprawnionych do głosowania, oraz że następujący kandydaci na posłów, zgłoszeni na listach Frontu Jedności Narodu, uzyskali bezwzględną wymaganą większość ważnych głosów i wybrani zostali na posłów do Sejmu PRL siódmej kadencji.

OKRĘG WYBORCZY NR 40 W ŁODZI-BAŁUTY: 1. Szydlak Jan, 2. Grzegorczyk Kazimiera, 3. Bukowski Jerzy, 4. Rafalski Henryk, 5. Malinowska Jadwiga, 6. Surma Barbara, 7. Karolak Roman.

OKRĘG WYBORCZY NR 41 W ŁODZI-ŚRÓDMIEŚCIE: 1. Koperski Bolesław, 2. Malinowski Roman, 3. Sroczyńska Irena, 4. Świderska Stanisława, 5. Kotlicka Maria, 6. Kardaszewski Bolesław, 7. Lech-Skubińska Jadwiga.

OKRĘG WYBORCZY NR 48 W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM: 1. Grochal Eugeniusz, 2. Szymanek Jerzy, 3. Składowski Stanisław, 4. Cieniewski Bronisław, 5. Łęgownik Zofia, 6. Budzanowska Maria, 7. Fortuna Kazimierz, 8. Jaros Witold.

OKRĘG WYBORCZY NR 57 W SIERADZU: 1. Stasiak Tadeusz, 2. Rakowski Mieczysław, 3. Wojtera Czesław, 4. Wilczyński Czesław, 5. Burski Czesław.

OKRĘG WYBORCZY NR 58 W SKIERNIEWICACH: 1. Milczarek Maria, 2. Oliwa Włodzimierz, 3. Ładyńska Zofia, 4. Janiak Franciszek, 5. Trojanowski Stanisław.

XI OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI W ŁODZI

Urząd M. Łodzi — Wydział Kultury i Sztuki, Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi organizują w ramach VIII Łódzkiej Wiosny Artystycznej w dniach 4—5 czerwca 1976 roku XI Ogólnopolski Festiwal Poezji.

XI Festiwal stać będzie pod znakiem romantyzmu. Jego hasło: romantyzm dzisiaj?

Festiwal ma być jednocześnie platformą wymiany poglądów na temat funkcji poezji, jej roli społecznej i miejsca poety we współczesności.

Z okazji XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji ogłoszony zostaje Konkurs Poetycki.

REGULAMIN

Urząd M. Łodzi — Wydział Kultury i Sztuki, Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi ogłaszają z okazji XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, konkurs na niepublikowany utwór poetycki (wiersz i prozę poetycką).

Konkurs na debiutancki tom wierszy pretendujący do wydania.

Konkurs na dramat sceniczny.

W konkursach preferowane będą utwory o tematyce patriotycznej i obywatelskiej stojącej na wysokim poziomie artystycznym. Nagrodzony tom wierszy zostanie wydany w roku 1977 przez Wydawnictwo Łódzkie i opatrzony obwolutą: Nagroda Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi.

Konkurs na dramat sceniczny jest konkursem perspektywicznym, a jego rozstrzygnięcie nastąpi na kolejnym, XII Festiwalu Poezji w roku 1977.

W dwóch pierwszych konkursach mogą wziąć udział poeci nie będący członkami Związku Literatów Polskich. Trzeci konkurs na dramat sceniczny — zakłada również udział członków ZLP.

Ilość nadesłanych utworów przez jednego autora jest nieograniczona.

Utwory winny być sporządzone w formie maszynopisu w trzech egzemplarzach oraz zaopatrzone w godło autora.

Utwory nadsyłać należy do Sekretariatu Festiwalu na adres: Łódzki Dom Kultury — Dział programowania 90-102 Łódź, ul. Traugutta nr 18. Do tekstów winna być załączona koperta zawierająca godło autora, jego imię i nazwisko oraz dokładny adres.

Termin nadsyłania wierszy i tomików pretendujących do wydania upływa w dniu 5 maja 1976 roku, a dramatów scenicznych — w dniu 31 marca 1977 roku. O terminie wpływu utworu decyduje data stempla pocztowego.

Utwory nie odpowiadające warunkom, o których mowa wyżej, nie będą przedmiotem oceny Sądu Konkursowego.

Nadesłane utwory nie podlegają zwrotowi.

Ocena utworów, których autorzy nie uzyskali nagród, nie zostanie ujawniona przez Sąd Konkursowy nawet samym zainteresowanym.

Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w pierwszym dniu XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, tj. w dniu 4 czerwca 1976 r.

NAGRODY

W konkursie przewiduje się następujące nagrody:

1. za wiersz lub prozę poetycką:

I nagroda w wysokości — 3.000,—
II nagroda w wysokości — 2.000,—
dwie III nagrody w wysokości — 1.000,—

2. za debiutancki tom wierszy pretendujący do wydania — nagroda w wysokości 10.000,— zł.

3. za dramat sceniczny:

I nagroda w wysokości — 15.000,— zł
II nagroda w wysokości — 10.000,— zł
III nagroda w wysokości — 5.000,— zł

Organizatorzy zastrzegają dla Sądu Konkursowego prawo nie przyznania nagród bądź dokonania innego podziału nagród.

SOCHACZEW

NIEPOROZUMIENIA i WĄTPLIWOŚCI

Niedawno jeden z naszych felietonistów napisał:

„Każdy tekst, każde poglądy prezentowane publicznie podlegają publicznej ocenie czy to się autorom podoba, czy nie".

Idealna sytuacja byłaby wtedy, gdyby intencje autora były zbieżne z odczuciami czytelników. Nie zawsze jednak tak bywa. Coś podobnego zdarzyło się z reportażem Andrzeja Makowieckiego **„Potrzeba bodźców czyli donos z Sochaczewa"**, publikowanym w „Odgłosach" z 26 lutego 1976 roku. Fragment tego reportażu dotyczył n i e k t ó r y c h nauczycieli z Sochaczewa. Z sygnałów, jakie otrzymaliśmy wynika, że sochaczewscy nauczyciele potraktowali reportaż Andrzeja Makowieckiego jako krytykę całego środowiska, poczuli się urażeni i obrażeni.

W ubiegły piątek, 19 marca 1976 r., przedstawiciele naszej redakcji spotkali się w Sochaczewie z przedstawicielami tamtejszych władz i środowiska nauczycielskiego, gdzie w spokojnej i rzeczowej atmosferze podjęliśmy wspólnie próbę wyjaśnienia sobie wątpliwości i nieporozumień. Ponieważ zarzuty pod adresem n i e k t ó r y c h sochaczewskich nauczycieli padły publicznie, czujemy się więc w obowiązku również na łamach „Odgłosów" przedstawić poglądy, jakie zaprezentowano w tej sprawie.

W listach nadesłanych do redakcji sochaczewscy nauczyciele uznali, że Andrzej Makowiecki w swoim reportażu naraził **„na szwank honor i autorytet nauczycieli"**. Felicja Osiecka — nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 1 w Sochaczewie napisała, że Andrzej Makowiecki:

„...poruszył w swoim artykule bardzo ważne problemy, zwłaszcza te, które dotyczą spraw nauczycieli. Uczynił to jednak w bardzo niepoważnej formie, stylem pełnym ironii i źle pojętego dowcipu. Sprawy tak uogólnił, że każdy z nas czuje się dotknięty".

W piśmie firmowanym przez Radę Zakładową ZNP w Sochaczewie uważa się, że **„na podstawie rozmowy z anonimową grupą uczniów szkół różnych „stopni" przedstawia się opinię o całym środowisku nauczycielskim Sochaczewa".**

Andrzej Makowiecki nie pisał jednakże o całym środowisku nauczycielskim Sochaczewa. Przedstawił opinie, jakie krążą w Sochaczewie o n i e k t ó r y c h nauczycielach. Nikt w listach nadesłanych do redakcji, ani w czasie spotkania w Sochaczewie, nie postawił autorowi reportażu zarzutu, że napisał nieprawdę. Stwierdzono tylko, że opisane przez A. Makowieckiego postawy n i e k t ó r y c h nauczycieli należą już do przeszłości.

Twierdzono również, że wśród sochaczewskich nauczycieli są ludzie ofiarni, zasłużeni dla oświaty, którzy swoją wiedzą i doświadczeniem dobrze służą sprawie wychowania młodego pokolenia. Ani A. Makowiecki, ani nikt w zespole „Odgłosów" w to nie wątpi. Odnosimy się z całym szacunkiem do trudnej pracy nauczycieli. Rozpoczęliśmy druk artykułów łódzkiej pisarki — Ewy Ostrowskiej, będących rezultatem jej refleksji na temat współczesnej szkoły. Problematyka oświaty budzi szerokie zainteresowanie społeczeństwa. Wśród różnych opinii krążących na temat szkoły jest wiele nieporozumień. W naszym przekonaniu ujawnianie tych nieporozumień i przeciwstawianie się im powinno przynosić pomoc szkole i nauczycielom.

W redakcyjnej praktyce z całą powagą odnosimy się do listów Czytelników, publikując je na naszych łamach. Postępujemy tak zawsze, jeśli nadsyłane do redakcji listy odnoszą się w sposób poważny, rzeczowy i konkretny do spraw poruszanych przez naszych autorów i do ich poglądów. W przypadku listów, jakie nadeszły do redakcji po opublikowaniu reportażu **„Potrzeba bodźców czyli donos z Sochaczewa"** odstąpiliśmy od tej praktyki. Zrobiliśmy tak dlatego, że trudno nam dyskutować na temat tego, czy pismo nasze **„winno nosić tytuł BRUKOWIEC"**, jak to sugerują dwaj niewyraźnie podpisani autorzy listu, albo na temat tego, że **„być może autor ma zadawnione pretensje do własnych wychowawców, może rozładowuje kompleksy, jakich na ławie szkolnej się nabawił?"** — jak to sugeruje się nam w piśmie firmowanym przez Radę Zakładową ZNP w Sochaczewie. Nie uważamy też, abyśmy mogli dyskutować na temat tego, iż dwaj niewyraźnie podpisani autorzy listu uważają, **„że p. Makowiecki to zboczeniec seksualny lub bajarz z racji wieku".**

Zainicjowane przez KW PZPR w Skierniewicach spotkanie przedstawicieli naszej redakcji i autora reportażu z przedstawicielami władz i środowiska nauczycielskiego w Sochaczewie pokazało, że o tak trudnych sprawach można dyskutować bez niepotrzebnych emocji i uprzedzeń. Wprawdzie w toku tego spotkania nie wszystkie wątpliwości i nieporozumienia zostały do końca wyjaśnione, ale też nie zamierzamy poprzestać na jednym tylko reportażu z Sochaczewa. Już w niedługim czasie zamierzamy ponownie powrócić do tematyki miasta, pokazując zarówno jego osiągnięcia, jak też trudności i kłopoty.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

ZA TYDZIEŃ w ODGŁOSACH

■ **NIESPODZIANKA!**

■ Poza tym szokująca historia **Patrycji Hearst,** rozmowa **Konrada Frejdlicha** z prof. dr **STANISŁAWEM CWYNAREM** o projekcie ustawy psychiatrycznej, rozważania **Mirosława Kuźniaka** o partnerstwie pracy z kulturą.

■ **Ewa Ostrowska** w cyklu **„SZKOŁA i ŻYCIE"** zastanawiać się będzie nad dyrektorskimi obowiązkami i zmartwieniami, **Janusza Marchewy** — „Jedność czy jednolitość" zaś **Mirosława Wojalskiego** „Same pytania".

■ O muzyce w Holandii opowie **Tamara Pospiszyl,** a zwolennicy talentu **Zygmunta Wójcika** znajdą fragment powieści **„POJEDYNEK"** przygotowywanej dla Wyd. „Czytelnik".

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI.

OBLICZE KAPITALIZMU (II)

MAFIA

Wall Street. Fronton gmachu giełdy w Nowym Jorku

Dalszy ciąg ze str. 1

łączną cechę bogaczy świata korporacji, jako warstwy kapitalistycznej głęboko powiązanej ze sferą polityczną państwa militarystycznego". I w innym miejscu tej samej książki: „Przekształcają one (korporacje — dop. red.) władzę gospodarczą o ograniczonym zasięgu w potęgę jednoczącą cały przemysł i wykorzystują tę potęgę przede wszystkim na froncie ekonomicznym, na przykład w stosunku do świata pracy i jego organizacji, a następnie na froncie politycznym, czego dowodem jest ich poważna rola w sferze polityki".

W takim ujęciu afera łapówkarska **Lockheed Aircraft Corporation**, jak i wynikłe z niej konsekwencje z postaci publicznego ujawnienia stosowania podobnych praktyk przez inne wielkie korporacje — nie tylko zresztą amerykańskie — tracą swój sensacyjny, nadzwyczajny charakter. Po prostu nie jest to jedyna, ani też — pozwolimy sobie wyrazić takie przypuszczenie — ostatnia afera o posmaku kryminalnym spreparowana przez big business. Natomiast szczególniejszej wymowy nabiera ta druga, mniej lansowana nawet przez liberalnych polityków i ekonomistów strona działania korporacji kapitalistycznych — właśnie wykorzystywanie potęgi gospodarczej dla celów politycznych i na odwrót. Nieprzypadkowo przecież w potocznym obiegu znajduje się powiedzenie: **„co jest dobre dla „General Motors" — dobre jest dla USA i vice versa".**

Tak przynajmniej uważają bossowie korporacji.

ŚWIAT NAJWIĘKSZEGO BUSINESSU

Pora bliżej zapoznać się ze zjawiskiem określonym mianem korporacji, nadać mu bardziej materialne wymiary.

Mała Encyklopedia Ekonomiczna pod hasłem korporacja wyjaśnia: przyjęta w USA nazwa spółki akcyjnej. Stopień koncentracji jest tutaj szczególnie wysoki, w przemyśle przetwórczym około 1,5 proc. ogólnej ich liczby posiada 78 proc. kapitału akcyjnego. W USA istnieje około 300 korporacji zatrudniających powyżej 10 tys. osób.

Tę informację trzeba jednak koniecznie uzupełnić o jeszcze inne — rozszerzone pojęcie, a mianowicie korporacji ponadnarodowych. Powołując się na **„Encyklopedię Spraw Międzynarodowych i ONZ" Edmunda Osmańczyka** cytuję w ślad za nią: termin wprowadzony w drugiej połowie XX wieku przez wielkie koncerny międzynarodowe, głównie amerykańskie, które rozbudowały sieć filii zagranicznych zatrudniających siły miejscowe. Mimo jednak wielonarodowego personelu istotne decyzje zapadają z reguły w jednonarodowych centralach, które w większości kierują się imperialistycznymi interesami swego kraju.

W Stanach Zjednoczonych przyjmuje się, że korporacja ponadnarodowa jest spółką o obrotach przekraczających 100 mln dolarów działającą na terenie co najmniej 6 krajów, z tym że na jej filie zagraniczne przypada więcej niż 20 proc. całości jej aktywów. W roku 1972 takim wymaganiom odpowiadało w świecie około 4.000 firm, na które przypadało 15 proc. światowej produkcji. W roku 1971 szacowano, że ponad 75 proc. kapitałów świata kapitalistycznego należy do mniej niż 3 proc. wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, przy czym proces koncentracji postępuje tutaj niezwykle wyraźnie. W roku 1968 prof. **Perlmutter** z **Wharton School** opublikował pracę, w której utrzymuje, iż przy obecnym tempie koncentracji, w roku 1985 od 200 do 300 korporacji ponadnarodowych kontrolować będzie 80 proc środków produkcji świata kapitalistycznego.

Największe korporacje amerykańskie: **General Motors, Exxon, Ford Motor, General Electric, IMB, Gulf Oil, Westinghous Electric, Du Pont, RCA, Standard Oil of New Jersey, Mobil Oil, Chrysler, Texaco, ITT.**

Jest rzeczą niezwykle interesującą, że — jak to wykazały badania przeprowadzone przez grupę ekspertów ONZ — z 10 największych korporacji ponadnarodowych 8 ma swoją centralę w Stanach Zjednoczonych. Nie znaczy to wcale, by Europa Zach. była „czysta" od występowania wielkich korporacji. Wręcz odwrotnie. Materiały publikowane przez Europejską Wspólnotę Gospodarczą pozwalają stwierdzić, że na Starym Kontynencie mamy do czynienia z 20 potężnymi korporacjami, przy czym do czołówki zaliczają się Royal Dutch Shell, Unilever, Philips, Volkswagen, Siemens oraz ICI.

Największe korporacje europejskie: **Royal Dutch Shell** (W. Brytania, Holandia), **Unilever** (W. Brytania, Holandia), **British Petroleum** (W. Brytania), **Philips** (Holandia), **Volksvagen** (RFN), **Siemens** (RFN), **ICI** (W. Brytania), **British Steel** (W. Brytania), **Montecatini** (Włochy), **Fiat** (Włochy), **Bayer** (RFN), **Rhone Poulenc** (Francja).

W ten sposób, po takim zaprezentowaniu „kto jest kto" mogłoby się wydawać, że już dobrze wiemy z kim mamy do czynienia. Otóż — chyba nie, bowiem nawet taka statystyczna, w miarę szczegółowa „metryczka" jest tutaj niezmiernie powierzchowna i w gruncie rzeczy nie ukazuje nic innego poza potencjałem ekonomicznym będącym w dyspozycji tych ponadnarodowych kolosów.

ZALEŻNOŚĆ CZY CICHA ZGODA?

Nie tak dawno ukazała się książka **J. Barneta i E. Muellera**, która z miejsca stała się bestsellerem wydawniczym. Jej tytuł: **„Światowy Zasięg i Potęga Wielonarodowych Korporacji".** Jej autorzy — dwaj amerykańscy naukowcy zgromadzili i przedstawiają Czytelnikom ogromny materiał dowodowy, który upoważnił ich do postawienia końcowej tezy: ponadnarodowe korporacje w swoich dążeniach zmierzają do zawładnięcia światem, jego niesocjalistyczną częścią, a w działaniu tym występują zarówno zbieżności jak i przeciwieństwa ich własnych interesów z dążeniami poszczególnych państw imperialistycznych. Trudno się temu dziwić, jeśli zna się hipotezę zawartą w innej książce, a mianowicie **Roberta Lattesa — „Tysiąc miliardów dolarów"**, której autor przewiduje, że do roku 1985, 60 przedsiębiorstw — olbrzymów, w tym 50 amerykańskich ponadnarodowych korporacji, obejmie władzę nad niesocjalistyczną częścią świata. Zbieżność dążeń uwidacznia się zarówno we wspólnocie celów pewnych kół politycznych świata Zachodu z planami wielkiego businessu, jak i ścisłych związkach tychże samych kół z korporacjami. Dowodów upoważniających do wyciągnięcia takiego wniosku, jest bardzo wiele, ograniczymy się jednak tylko do zaprezentowania szczególnie charakterystycznego zjawiska: swoistej symbiozy polityków z big businessem. W tym celu powołuję... na świadka **C. Wright Millsa** i fragment jego książki **„Elita władzy"**. Konkretnie chodzi o rozdział zatytułowany **„Dominująca rola wojskowych"**. Mills stwierdza w nim:

„Główna tendencja rozwoju w dwudziestym stuleciu polega na tym, że w miarę jak gospodarka ulega koncentracji przybiera formę gospodarki korporacji w miarę jak powstają wielkie hierarchie, dziedzina wojskowości rozrasta się i nabiera decydującego znaczenia dla kształtowania się całej struktury ekonomicznej... wojskowi wraz ze swą polityką przenikają coraz bardziej do gospodarki korporacji".

Zastąpmy to uogólnienie faktami. Tak więc np. generał **Lucius D. Clay**, który był dowódcą wojsk w Niemczech, stał się po pewnym czasie prezesem rady dyrektorów **Continental Can Company.** Generał **J.H. Doolittle** — szef VIII Floty Powietrznej USA, to następnie wiceprezes **„Shell Oil"**, generał **Douglas Mac Arthur** — to także po odejściu z wojska prezes rady dyrektorskiej **„Remington Rand Inc"**, generał **E.R. Quesada**, który kierował próbą bomby wodorowej, stał się wiceprezesem **„Lockheed Aircraft Corporation".**

Sam zresztą Pentagon, jest potężnym przedsiębiorstwem wydającym rocznie więcej pieniędzy, aniżeli wynosi czysty dochód koncernów amerykańskich. Tenże sam Departament Obrony USA ma 470 przedsiębiorstw, 6.000 mniejszych zakładów i jest właścicielem terenów o powierzchni 27.600.000 akrów, czyli obszaru wielkości stanu Tennessee. Państwo, w tym przypadku USA, jest też poważną pompą wtłaczającą olbrzymie środki w różnego rodzaju przedsięwzięcia badawcze. Jak podaje **J.J. Servan-Schreiber** rząd federalny USA ma — szacunkowo biorąc — następujący udział w wydatkach na badania prowadzone przez przemysł:

lotnictwo i pociski rakietowe	— 90%
elektrotechnika i elektronika	— 65%
przyrządy naukowe	— 42%
przemysł mechaniczny	— 31%
przemysł metalowy	— 28%
przemysł chemiczny	— 20%

W konkluzji **Servan-Schreiber** stwierdza: rozwój wielkich przedsiębiorstw przemysłowych w USA cechują następujące momenty — wielkie rozmiary dają im możność tworzenia olbrzymiego potencjału naukowego; ten potencjał popycha przedsiębiorstwo na nowe drogi rozwoju; przedsiębiorstwo staje się zdolne do wykonywania wielkich projektów rządowych, co zapewnia mu poważną pomoc ze strony władz państwowych, z kolei pomoc ta wzmaga jeszcze bardziej jego możliwości osiągania pokaźnych zysków...

Okazuje się jednak, że symbioza ta ma swoje granice, a wyznacza je... interes ponadnarodowych korporacji.

SZCZEGÓLNA CECHA — KOSMOPOLITYZM

„— Polityczne struktury świata są już całkowicie przestarzałe i znajdują się w żałosnym dysonansie z postępem technicznym — zauważa prezes IBM World Trade Co. — i dodaje jeszcze: — **decydującym problemem naszych czasów jest konflikt między wysiłkami na rzecz optymalizacji zasobów w skali światowej, a niezależnością państw narodowych".** Kiedy indziej znowu wyraża następującą opinię: **„granice dzielące państwa od siebie nie są bardziej realne niż równik".**

Jeszcze ciekawsze spostrzeżenie padło z ust **P. Kindlbergera** — jednego z amerykańskich ekspertów od gospodarki światowej:

„Z punktu widzenia międzynarodowych korporacji nie ma takiego kraju, wobec którego miałaby ona okazywać więcej lojalności niż wobec innego, nie ma też żadnego kraju, w którym czułaby się całkowicie, jak u siebie w domu".

Te stwierdzenia to chyba nic innego, jak tylko swoista odmiana „wyższej moralności", o której była już tutaj mowa.

Dla obserwatorów zjawisk zachodzących w krajach kapitalistycznych nie jest tajemnicą pewien proces, który zaznaczył się z końcem lat sześćdziesiątych. To właśnie wtedy złożono przytoczone wyżej oświadczenia. To właśnie wtedy korporacje „obrośnięte w piórka" doszły do wniosku, że suwerenność państw stoi na przeszkodzie nie tylko w dalszej optymalizacji zysków, ale również zgodnej z ich interesami specjalizacji produkcji w skali międzynarodowej prowadzenia inwestycji, opanowywania rynków zbytu, zasobów surowcowych. Jak stwierdził to **St. Albinowski** na łamach **„Trybuny Ludu":**

„Kosmopolityzm wielkiego kapitału jest zjawiskiem znanym od dawna, lecz teraz przybiera on formy ofensywne, by nie powiedzieć — agresywne. Idea szefów korporacji — gigantów („precz z granicami") ma być odpowiednio „sprzedana" społeczeństwom świata kapitalistycznego. Potrzebujemy „filozofów w akcji" wołał J.O. Powers, prezes Pfizer Co. popełniając — świadomie czy nie — plagiat wobec jednej z tez Marksa o Feuerbachu. Oczywiście, nikt z tych menażerów nie sądzi, by była możliwa likwidacja organizmów państwowych. „Państwo narodowe samo nie zwiędnie" — uważa prezes Unilever — „trzeba więc będzie wymyśleć dlań jakąś „pozytywną rolę".

Ta „pozytywna rola" ma umożliwić korporacjom traktowanie świata jako „jednostki ekonomicznej", którą można będzie w skali globalnej „planować, organizować i kierować". Wszystkie te funkcje ma spełniać oczywiście niewielka grupa największych korporacji, a optymalizacja wykorzystania czynników produkcji w skali światowej ma służyć maksymalizacji zysków korporacji, gdyż według mniemania ich szefów jest to jednoznaczne z maksymalną efektywnością gospodarowania.

Tak więc elementem nowym w świecie wielkiego kapitału jest nie tyle ilościowy wzrost jego potęgi, co dokonanie się dialektycznej metamorfozy ilości w jakość. Osiągnięta już potęga materialna i rysujące się granice jej dalszego wzrostu w istniejącej strukturze polityczno-społecznej świata kapitalistycznego doprowadziły do sformułowania „wizji" o zasięgu globalnym, koncepcji podporządkowania sobie tego świata. Wielki kapitał nie ucieka przy tym od oskarżeń o próbę uzurpacji władzy, lecz stara się ją „racjonalnie" uzasadniać.

Cała ta „wizja" jest w równym stopniu fikcją, co wyzwaniem. Jest fikcją, ponieważ w żadnym okresie historii jak właśnie w naszym stuleciu, więcej ludzi nie oddało życia za to, co kilkudziesięciu bossów uważa za anachronizm i relikt dawnych czasów, mianowicie za niepodległość i wolność. Cały Trzeci Świat — 2 miliardy ludzi — dopiero co wszedł w erę suwerenności i trzeba być fantastą, by sądzić, że ta krwawo zdobyta niepodległość zostanie złożona na „ołtarzu" maksymalnych zysków paruset korporacji". „Wizja" ta jest fikcją, ponieważ nie bierze pod uwagę istnienia państw socjalistycznych, ich potęgi, ich założeń politycznych".

* * *

Można sobie wyobrazić wizję świata, przynajmniej tej jego kapitalistycznej części, rządzonego przez w gruncie rzeczy anonimową mafię wielkich korporacji. Można też przewidzieć realia tych rządów. Zdajemy sobie sprawę z tego nie tylko my. Na III Sesji UNCTAD obradującej w roku 1972 w Santiago, delegat Watykanu — biskup Ramon Torrella Cascante uważał za stosowne wyrazić następujący pogląd: **„Korporacje ponadnarodowe są wielkimi prywatnymi imperiami wymykającymi się spod kontroli, co powoduje, że znajdują się one poza jakąkolwiek kontrolą podporządkowaną wspólnemu dobru ludzkości".**

KRZYSZTOF POGORZELEC

NIE TYLKO HISTORIA

W POSZUKIWANIU SENSU

Nie wszystko, co pobudza do myślenia rodzi się w Warszawie. Przykładem niewielki tom historycznych esejów **Jerzego Krasuskiego**, ogłoszony przez Wydawnictwo Poznańskie (1976) i opatrzony historiograficznym tytułem: „W poszukiwaniu sensu dziejów". Zakładać, że dzieje mają jakiś sens, znaczy to, że uważa się je za jakąś całość, mającą pewną wewnętrzną logikę. Niemiecka filozofia idealistyczna, tak dobrze znana Jerzemu Krasuskiemu, zgłosiła w tej sprawie nieprzebrane bogactwo propozycji, jedną bardziej nieprawdopodobną od drugiej. Dlaczego więc poszukiwać „sensu", jeżeli chodzi po prostu — o czym zapewnia nas autor w niewielkiej wstępnej notce — o „poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: dlaczego dzieje przebiegały w taki a nie inny sposób?". Toć to jeszcze nie wyprawa po metafizyczny „sens", ale najzupełniej niemetafizyczny zabieg badawczy, polegający na wyszukiwaniu motywów, przyczyn, czy jak to powiadali pozytywiści „sprężyn" i „motoru" dziejów. I to w dodatku — zaświadcza o tym cały tom Jerzego Krasuskiego — nie dziejów „w ogóle", czy „jako takich" (ulubione to kategorie historycznych rozważań filozofii niemieckiej ubiegłego stulecia!), ale po prostu, całkiem zwyczajnie, konkretnych procesów historycznych, takich, które mogą być określone pod względem czasu i miejsca. A więc nie historiozofia w stylu niemieckich idealistów, ale — można by powiedzieć — „normalna" historyczna refleksja uczonego, zastanawiającego się nad przebiegami dziejowego procesu! Nie tyle poszukiwanie „sensu", ale — na niższym szczeblu ogólności — próba zracjonalizowania naszych wyobrażeń o takich, bądź innych aspektach czy wątkach, problemach dziejowej rzeczywistości.

Cenię odwagę, z jaką Jerzy Krasuski przerzuca się z tematu w temat. Bo raz pisze o „Rzeszy niemieckiej i problemie równowagi europejskiej", dalej o orientacjach w dziejach polskiej polityki zagranicznej, o zagadnieniach „polityki dynastycznej", o Wschodzie i Zachodzie Europy w okresie od XIII do XVI wieku, o legendzie napoleońskiej, o dziejach zaboru pruskiego i kontrrewolucji rosyjskiej. Dzieli się z czytelnikiem swymi spostrzeżeniami o dziejach Szwecji i Turcji, nakłania go do zainteresowania się dziejami Egiptu, zastanawia się nad rewaluacją rolnictwa w „perspektywie historycznej". Ogromna to skala tematyczna, zróżnicowane jest też podejście do omawianych zagadnień. Czasem mamy przed sobą rezultat głębokich przemyśleń, niekiedy tylko usystematyzowane notatki z lektury, impresje sprowokowane przeczytaną książką...

Jest pośród tych tekstów jeden, zajmujący w całości miejsce szczególne: esej „Socjologiczne podłoże Romantyzmu", który niegdyś, w 1974 r., ogłoszony pod innym tytułem w „Kulturze", sprowokował burzliwą dyskusję. Autor nie ukrywa, że widzi w Romantyzmie więcej wad niż blasków; akcentuje jednocześnie swoją sympatię dla Oświecenia, stwierdzając przy tym, że właśnie w nim to „widzi swego prekursora" kultura socjalistyczna. Przeczytajmy ten drapieżny tekst na nowo: nie wszyscy się z nim zgodzą, ale wiele jest w nim celnych obserwacji. Dla wielu absolwentów nie tylko szkoły średniej sądy autora o konserwatyzmie poglądów Mickiewicza będą czymś ponad możliwość podjęcia z nimi dyskusji.

Ale polemiczna pasja nie zawsze wychodzi na dobre: i autorom, i czytelnikom. Natomiast nie ma co do tego wątpliwości, że w polemice nieraz wpada się w przesadę: Oświecenie w rozważaniach Jerzego Krasuskiego obrosło aureolą, tą samą, którą autor tak pragnął zedrzeć z pomnikowego Romantyzmu. Bo Oświecenie — proszę państwa — to nie tylko ład i porządek, to również wiara we wszechmoc władzy i bezwzględny cynizm w polityce, to wykreślanie na mapach kształtów państw, nie patrząc na ich mieszkańców. Najbardziej Oświeceniowymi były wszak dwory, które dokonały rozbiorów Polski. Oświecenie to także kosmopolityzm, nie mniej niebezpieczny, niż romantyczny nacjonalizm. Oświeceniowy to autor napisał te słowa: wówczas nastaną szczęśliwe czasy „gdy kosmopolizmus na miejsce śmiesznego patriotyzmu, czyli tej nacjonalnej nauki nastanie, która samymi tylko jest słowami od despotów wymyślonymi na przykucie niewolników do wozów swych triumfalnych". Oświecenie to również nacjonalizm, ale inny, jak w Romantyzmie. Także i w Niemczech: przeczytajmy pisma historyczne pruskiego ministra z końca XVIII w. Ewalda Friedricha von Hertzberga, który tak wspaniale dowodził historycznych racji zaboru ziem polskich przez Prusy. Wczytajmy się w jego swoistą historiozofię, w której kształtuje się doktryna panagermanizmu, przepojona wyrazistą tendencją nacjonalistyczną, acz przybrana w polerowny, podług francuskiego smaku epoki, literacko-historiograficzny kostium.

Wniosek z tego jest prosty: dobrze czasem jest przejaskrawiać, ale lepiej nie orzekać zdań zbyt kategorycznych. Bo nie pomawiam nikogo o to, że chciałby w tych, przytoczonych tu poglądach, o niewątpliwie oświeceniowej proweniencji, doszukiwać się wątku tradycji, która jest mu bliska. Nawiązywanie do tradycji jest bowiem procesem selektywnym: nie wszystko podejmujemy spośród wątków przeszłości, nawet z tych czasów, które z tych bądź innych względów są nam bliskie. A kultura socjalistyczna czerpie nie tylko z Oświecenia: ideałem niezbywalnym jest wciąż romantyczna doktryna wszechwładztwa ludu, która bynajmniej nie zaprzecza idei porządku. Byleby nie był to porządek w stylu Restauracji — w stylu późnego Oświecenia.

LEKTOR

TADEUSZ GICGIER

SZUKANIE OGNIA

(FRAGMENT POWIEŚCI p.t. „ROZDROŻE")

Głos spikera zapowiada przybycie pociągu. Głos jest chropawy, język obcy. Dla niego tylko obcy, ale przecież zrozumiały. Dochodzi z niezmiernej dalekości — czasu? czy może stanu, w jakim się znajduje?

Stefan trzyma się kurczowo barierki, umocowanej nad wejściem do tunelu. Od toru dzielą go dwa kroki, szyny zaczynają już brzęczeć. Natrętny brzęk, brzęk narastający. Brzęk jak nakaz, jak polecenie: puść barierkę, daj te dwa kroki do przodu! Postępuje dwa kroki naprzód, lecz pociąg wjechał już na stację.

Strumienie pary, wilgotne białe ciepło pod niskim niebem listopadowej nocy. Sceneria jakby ze snu. Pieje kogut, znów to odczucie niezmiernej dalekości — czasu? przygłuszenia nawisłym niebem? tamtego przebudzenia?

Siedzi na łóżku, nie śpi. Nie słyszy oddechu rodziców, jest cały wsłuchany w siebie. Jest w siebie wpatrzony. Widzi tam bardzo wyraźnie swój sen, dziewczynę, która uśmiecha się do niego. Dziewczyna ma rysy jego młodej matki, może to młoda matka, obraz wyniesiony z głębi dzieciństwa? Ale nie, dziewczyna jest młodsza, może piętnastoletnia. Patrzy na niego i ciągle się uśmiecha. Chłopak, ten on ówczesny, czuje ciepło pod sercem, białe ciepło w nieprzeniknionej ciemności.

Ten on ówczesny nie wie jeszcze, że pierwszą jego miłością była matka. Matki są pierwszą miłością wielu chłopców, potem szukają oni młodych matek w poznanych dziewczynach. On także szukał, znalazł dość blisko, bo w twarzy młodziutkiej kuzynki, zdecydowały o tym zapewne cechy rodzinne. To było zaraz po wojnie, siarczysta zima, sanna, tańce przy adapterze. A potem listy (kuzynka mieszkała na Białostocczyźnie), jego wylewne, jej umiarkowane, trwało to może rok lub półtora. Na któryś jego list nie odpisała. Wysłał następny, ale i ten pozostał bez odpowiedzi. Sprawa wyjaśniła się po latach, okazało się, że powstała panika w rodzinie, rzecz w odczuciu wtajemniczonych w niewinny romans ciotek pachniała niemal kazirodztwem.

Wszyscy wysiedli, ona nie przyjechała. Stefan wraca do hotelu w obcym mieście. W hallu kilka karłowatych palm ustawionych rzędem i słabe nocne światło z recepcji. Palmy ustawione rzędem i przysłonięte światło, katafalk, i nagle widzi pomarszczoną, jakby zmartwioną twarz matki, martwą a jeszcze zmartwioną, dotyka policzkiem jej policzka z białego, spękanego marmuru, jaki przewrotny rzeźbiarz wyrzeźbił tę twarz w spękanym marmurze? Był wtedy styczeń, to już dwadzieścia lat temu. Stefan czuje przejmującą tęsknotę do matki, nigdy nie tęsknił tak do niej za jej życia, jak teraz do tej garstki prochu w ziemi.

Wchodzi szybko po schodach, nie ogląda się za siebie. Nareszcie pokój, przekręca w drzwiach klucz od wewnątrz, zapala wszystkie światła. Kładzie się, bierze książkę, próbuje czytać. Przysuwa nocną lampkę do poduszki, lampka ma klosz nadpalony, w jednym miejscu brązowe wybrzuszenie od żarówki. Czy we wszystkich hotelach nocne lampki mają takie wybrzuszone klosze? W tamtym też miała klosz wybrzuszony, ale świeciła jasno, a może mu się tylko tak zdawało. W każdym razie wzory na rolecie widoczne były dobrze.

Lorka (bo jak nazywać ją Eleonorą?) wysuwa się spod kołdry, biegnie boso do rolety, o patrz, tu siedzi gołąb, a tu jest głowa chłopca. Dlaczego chłopca (to on), a nie dziewczyny? Ona odwraca się do niego przodem i wtedy spostrzega, że jest naga. Zasłania obiema dłońmi piersi. Właśnie piersi. Ale on widzi je ciągle, małe, okrągłe jak tarcze. Tak okrągłe, jakby wykreślone cyrklem. Śmieje się, bo w szkole miał kłopoty w operowaniu tym instrumentem, cyrkiel zawsze wykręcał mu się w dłoni. A temu, kto wykreślał jej piersi, cyrkiel się nie wykręcił.

Więc będzie to historia jego miłości. Hostoria, która jest historią jego życia. Opowiedziana aż do miejsca, w którym na koniec się znalazł. Miejsca, w którym skrzyżowały się i splątały wszystkie drogi, którymi szedł dotychczas.

Zapewne jest to historia banalna. Taka, jakich było tysiące. Jeśli cokolwiek go usprawiedliwia, że ją tak właśnie przeżył, to tylko to, że przeżył ją inaczej niż jego poprzednicy. Może to zresztą złudzenie, może tak mu się tylko wydaje. Ale jeśli nawet tak jest, nie jest przecież w tym złudzeniu odosobniony.

Lipiec w wielkim, stłoczonym mieście. Głębokie, wąskie ulice, nagrzane powietrze stoi w nich nieruchomo jak gęsty płyn w kadzi. Słońce praży prostopadle, wzdłuż rzędu kamienic zaledwie wąski skrawek cienia. Rzadcy przechodnie snują się tym skrawkiem, jeden przystaje na chwilę przy straganie z warzywami, mocno skropionymi wodą. Nic nie kupuje, wciąga w nozdrza wilgotny chłód ogrodu, zapach mokrej ziemi.

Stefan jest daleko od miasta. W każdym razie pływając w kajaku po stawie, leżącym w głębokiej, zielonej niszy wierzb — można mieć takie wrażenie. Zapatrzył się na ciernika, który zna powiększające właściwości wody i udaje groźnego okonia. Nagle ciernik czmycha w bok, bo jakiś wielki kształt leci na niego z góry. Ugodzony dziobem drugiego kajaka — kajak Stefana przechyla się gwałtownie, a on sam wpada płasko do wody. Staje natychmiast na mulistym dnie, ale musi mieć bardzo zdziwioną minę, bo jakaś dziewczyna na brzegu zanosi się głośnym śmiechem. Stefan wychodzi na brzeg, siada na trawie. Dziewczyna je jabłko i nie przestaje się śmiać.

— Smacznego — mówi Stefan zgryźliwie.

— Dziękuję — odpowiada ona i śmiejąc się podaje mu drugie jabłko.

Zachłanna jest na owoce, po prostu je pochłania. Chłonie zresztą łapczywie wszystko, co ją otacza. I śmieje się, ciągle się śmieje. Odchyla głowę do tyłu, i Stefan już wie, że teraz nastąpi długi seans bezgłośnego śmiechu.

„Śmiech jest wielką ułomnością ludzkiej natury i każdy myślący człowiek będzie usiłował otrząsnąć się z tej ułomności". Tak napisał filozof angielski, Hobbes. Jeszcze niedawno Stefan przyznawał mu rację. Oto dziewczyna o bladej, smutnej, ale bardzo pociągającej twarzy. Stefan chciałby wziąć tę twarz w swoje dłonie, ale nie weźmie, wie, że mu nie wolno, że to przeniewierstwo, a może i nowe powikłania, których już i tak ma dostatecznie dużo, więc nie weźmie, ale wtedy jego smutek jest jeszcze większy. A teraz ujmuje tę śmiejącą się bezgłośnie twarz i śmieje się z nią razem.

Bellergot-retard. Lek neurologiczny z opóźnionym działaniem (zaaplikowany w swoim czasie Stefanowi). Nie jedyny przypadek opóźnionego chemicznego działania. W instytucie chemicznym, w którym teraz pracuje, zajmują się także podobnymi przypadkami.

Stefan wie, że to, co się teraz z nim dzieje, to także spóźniona reakcja. Reakcja na zwichnięte wojną dzieciństwo, na młodość, która się nie odbyła. Po wojnie nie było po prostu na nią czasu. A kiedyś odbyć się musi. Właśnie się odbywa.

Szczególna to okoliczność, trudno się nie śmiać. Tym razem jednak inaczej. Bo przecież parę dni temu, gdy odwiedził żonę z córką na letnisku, zobaczył taką scenę: Agnieszka wiosłuje z koleżanką, baraszkujący w wodzie chłopcy próbują łódź wywrócić. To forma zalotów. Śmiech i pisk, bo chłopcom żart się udaje. Stefan czuje absurdalny żal do córki, że tak już wyrosła.

Jest koniec sierpnia, lecz lato jeszcze w pełni. Leżą na kocu na małej śródleśnej polanie. Ona wsuwa swe szczupłe palce we włosy na jego piersiach. Owija je wokół palca. Opowiada:

— Wiesz, to było parę lat temu, pojechaliśmy z całą rodziną na wycieczkę. Mama, ja, brat ze swym kolegą. Brat był już dorosły, a ten jego kolega z pracy trochę od niego starszy. Miał mocno owłosione piersi i krzaczaste brwi, spod których patrzył na mnie tak jakoś ironicznie. Opalaliśmy się, i on nagle poprosił, żebym posmarowała go olejkiem. Nie zrobiłabym tego, gdyby nie to ironiczne spojrzenie. Zaczęłam go smarować, a kiedy dłonią przejechałam po jego piersi, na moment zdrętwiałam. Ręka zatrzymała mi się sama, ale on ciągle mi się przyglądał. Więc smarowałam dalej, choć czułam, że policzki nabiegły mi krwią, jeszcze teraz rumienię się na to wspomnienie. Coś mi widocznie jednak z tamtego zdarzenia zostało.

Są jeszcze odlegli od krachu, bardzo odlegli. Ale już można dostrzec pierwsze jego symptomy. Można je usłyszeć, kiedy Stefan mówi:

— Kończą się wakacje, będziemy musieli się rozstać.

Dłoń Lorki sztywnieje na jego piersi.

Listopadowy sen w głuchą noc jesienną. Idzie z córką przez podmiejskie ugory, znane mu z dzieciństwa. W ledwie prószącym świetle majaczą popielate trawy, popielate jak sierść zwierzęcia przed nadejściem zimy. Mijają wielki głaz, spękany ze starości. Głaz jest pokryty zielonym mchem, to jedyna oznaka życia w tym martwym krajobrazie.

Wokoło pustka, absolutne opuszczenie. I nagle, bez żadnego przejścia, stoją w swym dawnym mieszkaniu. Właściwie — w sublokatorskim pokoju, w którym córka się urodziła. Pokój jest zaniedbany, ma ściany pomalowane na niebiesko, nie tyle zresztą pomalowane, co pomazane niebieską farbą, tak, jakby dokonała tego jakaś niewprawna ręka. „To malowała mama — mówi Agnieszka, i pokazuje na siedzącą w kącie kobietę. On na próżno usiłuje zobaczyć twarz tej kobiety, bo w pokoju panuje półmrok. Czuje się bardzo zmęczony, więc kładzie się na kozetce, która jest mocno wygnieciona. Zapada zaraz w sen, jak na dno stawu.

Tak zasypia tylko we śnie. W rzeczywistości jest inaczej. Był dawna inaczej. Kiedyś jego krewny (w młodości nazywał go wujem, potem wypili bruderszaft i przeszli na „ty" — mów mi po prostu: Wiesław), przed wojną — współredaktor miejscowego literackiego miesięcznika, po wojnie — dziennikarz radiowy, wziął go ze sobą na wieczór autorski pewnego poety. W okresie okupacji początkujący wówczas autor pobierał u Wiesława pierwsze edukacje — a teraz w dowód pamięci zaprosił go na swoją literacką imprezę. Poeta czytał matowym, bezbarwnym głosem swoje wiersze, czytał je przed publicznością, do której potem mówił, że poezja jest rzeczą wstydliwą. I znów przeczytał kilka wierszy. Przy jednym z nich Stefan, który słuchał poety trochę roztargniony, poczuł nagle w sobie skoncentrowaną uwagę. Wiersz nazywał się „Sen". Stefan doznał przykrego uczucia, że ktoś publicznie obnażył jego najskrytszą tajemnicę. A tak się nią delektował masochistycznie. Potem zobaczył ten wiersz wydrukowany w miejscowym tygodniku i egzemplarz tygodnika z wierszem wcisnął na dno szuflady domowego biurka.

Budzi się w środku nocy, leży długo i nie może zasnąć. Zrywa się nerwowo z tapczanu, siada przy biurku. Wyjmuje z szuflady podniszczony już egzemplarz pisma i ze złością odczytuje wiersz na nowo:

Śnie na kawałki rwany,
rano pilnie zlepiany,
jak garnek drutowany.

Może nikt się nie dowie,
jak śpię z kołdrą na głowie
w tej wacianej alkowie?

Może mnie nie dopadnie,
gdzie jestem nie odgadnie,
co noszę w sobie na dnie?

Wstanę wesoły prawie,
że już jestem na jawie,
sen za sobą zostawię.

Pracę zaczyna o siódmej rano, to znaczy wtedy, gdy wreszcie spałby twardym snem.

O dziewiątej laborantka roznosi herbatę. Herbata bywa zwykle okraszona anegdotami. Właśnie jeden z kolegów, nazywany Kombatantem, dawny kolega szkolny Stefana, wrócił z podróży do Francji. Rozwodzi się na temat Paryża, opowiada o wizycie w nocnym lokalu. Oczywiście striptis, ale jaki: naga tancerka miała umocowane u sutek piersi maleńkie dzwoneczki. „Wierzcie mi, wydzwaniała nimi melodię, każdym dzwoneczkiem oddzielnie!" Później przysiadała się do stolików, przysiadła także do stolika, przy którym on siedział.

— Objąłem ją w pasie, wcale się nie broniła.

— A byłeś w domu publicznym? — indaguje inżynier starszej daty.

— Byłem. Ani się tym nie chwalę, ani się z tym nie ukrywam.

Kombatant odznacza się tym, że lubi spekulować na różne tematy. Teraz też ożywia się, wpada w polemiczny trans.

— Bo świetnie, zlikwidowaliśmy u nas te „przybytki rozkoszy". Były do tego dostateczne racje. Ale skutki? Czy przewidziano skutki? Przede wszystkim proceder kwitnie dalej, bo nikt nie zlikwiduje najstarszego zawodu świata. Tyle, że kwitnie pokątnie, bez nadzoru, rzekłbym — niechlujnie. W związku z tym szerzy się plaga społeczna — choroby weneryczne. Ale to jeszcze zło nie największe. Mężczyźni w różnych, nazwijmy to — doraźnych sytuacjach, które mogłyby być rozwiązane prosto, wchodzą w przeróżne związki i układy, mącą, a nieraz niszczą życie własnych i cudzych rodzin. Ileż stąd dramatów, ileż nieszczęść i ludzkiej krzywdy?

Panowie piją w milczeniu herbatę. Milczenie jest tym głębsze, że wszyscy wiedzą o tym, że Kombatant ma kochankę, mężatkę, matkę dwojga dzieci. Cóż to przemawia przez niego: cynizm? własne życiowe powikłania?

Stefan spogląda na zegarek. O jedenastej powinna zadzwonić Lorka. Umówi się z nią i zaraz po pracy pojedzie autobusem na Stare Miasto. Tam usiądą w ostatniej salce kawiarenki. W jego życiu był taki czas, że i on zanurzał się w alkohol, w przygodną miłość. Nazajutrz szlam w żyłach i refleksja: dlaczego człowiek, żeby się oczyścić, musi unurzać się w błocie?

Do jedenastej jeszcze półtorej godziny. Praca postępuje zwykłym trybem, panowie są dziś układni, zjednoczeni tematem rozmowy. I bardzo dla siebie liberalni. A przecież jest tu kilku ludzi, których postawa życiowa budziła u niektórych oburzenie i sprzeciw. To ci osadzeni dobrze w siodle, jadący truchcikiem, poddający się elastycznie koniowi na zakrętach. Forowani, często forowani. Teraz, z biegiem czasu, z pogłębieniem zażyłości, poszerzeniem tak zwanej życiowej mądrości — dawni oponenci skłonni są ich zrozumieć, a nawet zaakceptować. Poznając „kulisy rewii" (tak to nazywają między sobą) sami wchodzą w rozmaite powiązania i zależności, w lot wychwytują niuanse. Tworzą się grupki i układy, jedni podgryzają drugich. Poezja jest rzeczą wstydliwą, ale o ileż bardziej wstydliwą jest proza życia.

Zresztą Stefan to także już inny człowiek. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Kiedyś koledzy żartowali, że on to ten „gatunek odchodzący". Bo buntował się, dawał temu wyraz. Teraz coś w nim wypaliło się, wygasło. Wątły był ten jego ogień. Więc może Lorka to potrzeba ekwiwalentu, szukania ognia tam, gdzie można go jeszcze znaleźć? „Co kochasz w innych?" — zapytuje filozof niemiecki. I odpowiada: „Swoje nadzieje".

DZIEŃ TEATRU

SEZON KAZIMIERZA DEJMKA?

KONRAD FREJDLICH: W imieniu redakcji „Odgłosów" witam panów serdecznie na dyskusji, którą zorganizowaliśmy w przededniu Międzynarodowego Dnia Teatru, żeby uprzytomnić sobie wspólnie kilka kwestii związanych z funkcjonowaniem scen w naszym mieście, ich dorobkiem i osiągnięciami. Jako recenzenci teatralni pilnie śledzący wszystkie pozycje repertuarowe, czemu dajecie przecież wyraz w swych publikacjach: Red. Jerzy Panasewicz w „Expressie Ilustrowanym", Red. Jerzy Bąbol w „Dzienniku Popularnym" wreszcie Dr. Kazimierz Lewkowski i Red. Piotr Słowikowski w „Odgłosach", (szkoda, że nie ma wśród nas Red. Henryka Pawlaka z „Głosu Robotniczego", który niestety nie mógł wziąć udziału w naszym spotkaniu), będziecie mogli chyba panowie odpowiedzieć na pytanie: czy możemy mówić o nowej sytuacji teatrów łódzkich, o jakościowym wzroście ich artystycznej produkcji? Wydaje mi się bowiem, że nie brak u nas dzisiaj pozycji dobrych, a są też spektakle, których artystyczna ranga ma zasięg ogólnopolski, które znaczą w życiu teatralnym Polski. Poprzednie sezony nie dawały nam chyba takiej satysfakcji?

JERZY PANASEWICZ: Istnieją dwie miary teatrów. Pierwsza — lokalna — odnosi się do średniego poziomu spektakli, natomiast odzew ogólnopolski zyskują tylko przedstawienia wyrastające ponad choćby najrzetelniejszą warsztatowo przeciętność. W przeszłości zdarzało się, że według naszej lokalnej miary oceniliśmy sezony jako niezłe, ze względu na wartości warsztatowe spektakli, propozycje repertuarowe, chociaż były one wtórne w stosunku do innych ośrodków. Toteż ogólnopolskie zainteresowanie teatrami łódzkimi było nikłe, i myśmy to odczuwali jako ujmę dla honoru miasta, które pamiętało jeszcze czasy świetności Schillera czy Axera.

Teraz średni poziom produkcji artystycznych odrobinę się chyba podniósł. Pojawiło się także kilka spektakli wybitnych związanych przede wszystkich z osobą Kazimierza Dejmka. Tak, jak to było przed laty, Teatr Nowy nawet oglądany z perspektywy krajowej stał się sceną wiodącą. Spektaklem, który miał największe publicity i był nagradzany, jest „Operetka" Gombrowicza, niewątpliwie najlepsze przedstawienie oglądane w Łodzi w ostatnich latach. Zwłaszcza druga wersja „Operetki", bo wersja premierowa była chyba odrobinę słabsza, chociaż nie wszyscy podzielają ten pogląd. Wydarzeniami były także „Dialogus de passione" i „Garbus" Mrożka, choć mnie osobiście ta ostatnia sztuka nie wydaje się najmocniejszą w twórczości tego pisarza. Przy tym wprowadzenie Mrożka granego w całej Polsce nie było już tym wyważeniem zamkniętych drzwi, jak w wypadku „Operetki".

KONRAD FREJDLICH: Zwróćmy jednak uwagę, że Łódź obejrzała „Garbusa" jednocześnie z Krakowem i Warszawą.

JERZY PANASEWICZ: To też charakterystyczne, bo zazwyczaj spóźnialiśmy się z repertuarem w stosunku do Warszawy i Krakowa, a w pewnych okresach także Wrocławia i Wybrzeża. Tak było w przeszłości z Dürrenmattem, Mrożkiem, Różewiczem, Williamsem. Jeśli wystawia się sztukę sezon później, to spektakl musi być genialny, żeby zwrócił uwagę krajowej krytyki, bo jeśli jest tylko dobry, przechodzi niezauważenie.

Tak więc wyróżniłbym Teatr Nowy. Zarazem niewiele wiemy o nowym obliczu Teatru Powszechnego, ale już premiera „Turonia" Żeromskiego mogła nastroić nas optymistycznie, bo było to przedstawienie ciekawe w zamyśle, choć chyba nie do końca dobrze zagrane. Niezbyt to miło mówić z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru, ale ta scena ma chyba najsłabszy w Łodzi zespół aktorski. Z drugiej strony wielu aktorów tego teatru widywałem w dobrych rolach, a chociaż było to już dość dawno, wierzę, że potrafią przełamać regres. Przyznam także, że rozmawiamy ze sobą w nieco niefortunnym momencie, bo najbliższa premiera Teatru Jaracza może diametralnie odmienić obraz, jednak dziś przychodzi nam konstatować, że wyraźnie obniżył on swoje loty. Od „Popiołu i diamentu" do „Warszawianki" i „Wnętrza" nie było w tym teatrze liczącego się spektaklu. Nawet gdy tak utalentowany reżyser jak Zatorski, mający w swym dorobku wiele interesujących przedstawień, zrealizował „Burzę", osiągnął tylko połowiczny sukces.

KAZIMIERZ LEWKOWSKI:

Także „Litość Boga" i „Pigmalion" stały się spektaklami nie najlepszymi i nie najwyższych lotów. Z wielu względów. W pierwszym przypadku dlatego, że mamy do czynienia z pozycją, która się pojawiła na naszych scenach grubo za późno, gdy poruszone w niej problemy mogłyby może znaleźć rezonans w latach sześćdziesiątych, ale w latach siedemdziesiątych brzmią już głucho. W wypadku „Pigmaliona" obserwujemy rozdźwięk pomiędzy koncepcją reżyserską a grą aktorów, którzy chyba nie zrozumieli się z realizatorem. I są to jakby spektakle sygnalne, decydujące o złej sytuacji Teatru Jaracza. Zgadzam się, że ta opinia może ulec zmianie, jeśli teatr zrealizuje swoje zapowiedzi, o których mówiło się na początku sezonu w czasie dyskusji nad propozycjami repertuarowymi.

KONRAD FREJDLICH: Czy nie można zaryzykować tezy, że braki, które tu podnosimy, nie raziłyby nas jeszcze dwa, trzy lata temu? Gdy mamy scenę wzorcową, jaką jest teatr Dejmka, stały się one jakby łatwiej dostrzegalne. Miałem nadzieję, że Dejmek stanie się tym przysłowiowym szczupakiem w stawie pełnym karpia, że jego powrót zmusi innych dyrektorów do maksymalnego wysiłku. Tymczasem...

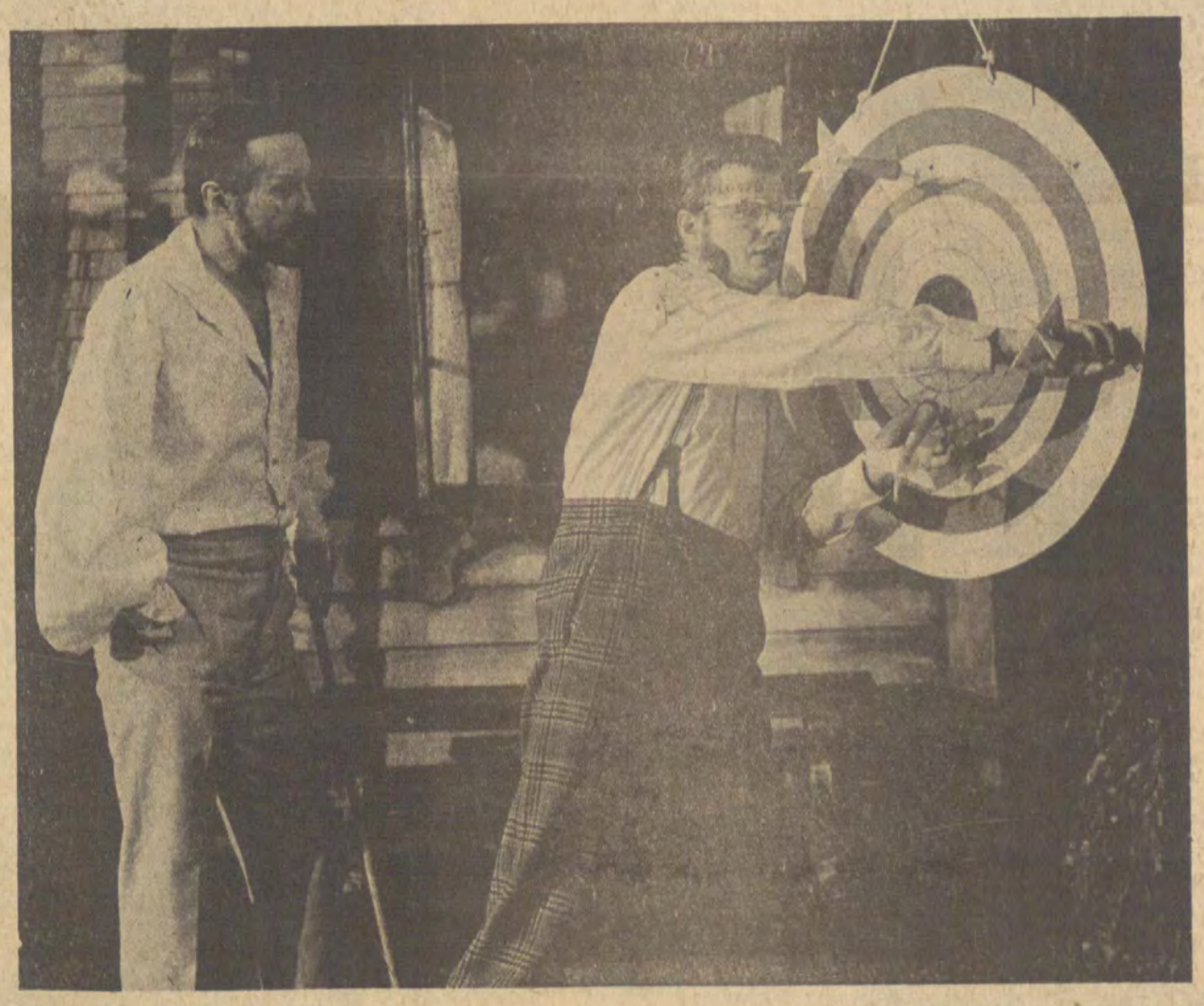

TEATR NOWY
Sławomir Mrożek: „GARBUS"
Reżyser — Kazimierz Dejmek, scenografia — A. Majewski
Mieczysław Voit — Baron, Andrzej May — Onek.
Fot. J. Neugebauer

PIOTR SŁOWIKOWSKI: ...to nie nastąpiło. Tylko że ja prawem przekory wspomniałbym małe sceny teatrów. Kameralna działalność Teatru Jaracza wydaje mi się wartościowsza niż teatru Dejmka z najwyższymi ambicjami. U Maciejowskiego obserwujemy na małej scenie wysoki poziom inscenizacyjny i aktorski, że wspomnę tylko Fugarda. Tam podtrzymuje się dobre tradycje Teatru Jaracza. Gorzej ze sceną główną. Ale do Małej Sceny Teatru Nowego można mieć wiele zastrzeżeń. Zastanawiam się czy Zatorski spełnił wszystkie oczekiwania realizując tam „Wujaszka Wanię"? Chyba nie, jest to bowiem spektakl zaledwie dobry. Gdyby nie rola Astrowa byłby bardzo bezbarwny, brakuje w nim świeżego odczytania Czechowa. W porównaniu z wystawioną kilka lat temu w tym samym Teatrze Jaracza „Czajką", jest to spektakl tylko poprawny.

JERZY BĄBOL: Zaczęliśmy naszą rozmowę od skonstatowania ożywienia łódzkich teatrów w bieżącym sezonie i chcę do tego powrócić. Rozstrzygają o tym ożywieniu poszukiwania repertuarowe, widoczne we wszystkich teatrach, choć ich efekt jest różny. Z drugiej strony do łódzkich teatrów przyszło sporo nowych ludzi, głównie aktorów, zmieniło się także kierownictwo Teatru Powszechnego. Mamy dopiero połowę sezonu i z pełną jego oceną musimy poczekać do czerwca, ale zmiany są już widoczne. Co prawda możemy mówić o wykrystalizowanej linii repertuarowej tylko w odniesieniu do Teatru Nowego. Na dużej scenie mamy przecież ciąg: „Operetka", „Dialogus", „Garbus", wszystkie trzy spektakle wyreżyserowane przez Dejmka.

KONRAD FREJDLICH: Są to zarazem pozycje dramaturgii rodzimej.

JERZY BĄBOL: Można się z nimi zgadzać lub nie, ale są to przedstawienia bulwersujące, spełniające swoją rolę kulturotwórczą, zmuszające do myślenia. Ja bym bronił także małej sceny Teatru Nowego. Dejmek daje przecież widowni konsekwentnie propozycje pozwalające w dzisiejszym zagonionym świecie na refleksję i wytchnienie. Mam na myśli montaż Lechoniowski czy poezję staroindyjską w wykonaniu Michałowskiej. Obserwujemy więc wyraźny kontrapunkt w stosunku do tego, co robi duża scena.

Mówiąc o repertuarze, chciałem zwrócić uwagę na Teatr Powszechny, który ma wystawić „Zapomnieć o Herostratesie" i „Słonia", dwie współczesne sztuki radzieckie. Dopiero one pozwolą nam na zorientowanie się w jaki sposób Kłosowski chce kształtować repertuar swojego teatru. Nawet już w tej chwili, po dwóch premierach, choć „Szwejk" może temu zaprzecza, a „Turoń" poświadcza, można by dojść do wniosku, że Kłosowski zamierza odejść od tego, co przez wiele lat, ze względu na nazwę, ograniczało działalność Teatru Powszechnego. Od taniej popularności. Poszukiwania Teatru Powszechnego, a Panasewicz mówił już, że jest on chyba w najtrudniejszej sytuacji kadrowej, zmierzają: do uporządkowania i poszerzenia repertuaru i profilu teatru, uczynienia go ambitniejszym.

Natrudniej chyba jest nam ocenić sytuację Teatru Jaracza. Bo przecież zarówno „Litość Boga" Jeana Cau na małej sali, jak też „Warszawianka" i „Wnętrze" Maeterlincka są od strony formalnej jednymi z lepszych przedstawień oglądanych w Łodzi. Bardzo wysoko warsztatowo oceniam „Litość Boga". Widzę jednak, że teatr ten zaczyna popadać w formalizm ze szkodą dla treści, które nieść w sobie powinno każde widowisko sceniczne. „Litość Boga" jest od strony teatralnej doskonale zrobiona przez Maciejowskiego, ale z jej treściami, pomijając to, że są spóźnione, trudno się zgodzić. Nie chciałbym mówić o jakimś eskapizmie, ale widzę jałowe szamotanie się Teatru Jaracza w kwestiach formalnych.

PIOTR SŁOWIKOWSKI: W moim odczuciu Maciejowski uprawia na Małej Scenie teatr „intymnego kontaktu z widzem". Jest to działalność różna od tej, którą realizuje na swojej małej scenie Dejmek, ale też i ciekawsza. Na małej scenie Teatru Nowego oglądałem na przykład aktora recytującego wiersz Herberta „Kamień" z kamieniem w ręce. Chyba to nie najlepsze rozwiązanie inscenizacyjne. A w ogóle, może to tylko moje odczucie, poezja przeniesiona do teatru jest scenicznie wtórna i nie daje takich przeżyć, jakie były moim udziałem na spektaklach Maciejowskiego, gdzie treści podawane są nie wprost, lecz zostają zakodowane w systemie działań aktorskich.

KAZIMIERZ LEWKOWSKI: Problem, który podniósł pan Słowikowski jest istotny i ma, w moim przekonaniu, dwa aspekty. Jeden związany jest z poszukiwaniami repertuarowymi małych scen, drugi zaś z poszukiwaniami i propozycjami aktorskimi. Z punktu widzenia tych propozycji mała scena Teatru Jaracza ma na pewno więcej do powiedzenia, z tym się zgadzam. Ale jeśli wziąć pod uwagę całokształt tematyczny tzw. wieczorów teatralnych Małej Sceny u K. Dejmka, to trzeba go wysoko ocenić, bo przeciwstawia się on ograniczeniu teatru przez literaturę pisaną specjalnie dla sceny. Teatr poetycki daje możliwość poszukiwań w metaforyce, a więc jednocześnie gwarancję głębszego, poruszającego wyobraźnię kontaktu z widzem.

Kontynuując te rozważania o Teatrze Nowym chciałem zauważyć, że stał się on w Łodzi symbolem pewnej przemiany. Zmiana dyrekcji, przyjście Dejmka...

KONRAD FREJDLICH: Raczej powrót Dejmka...

KAZIMIERZ LEWKOWSKI. Powrót Dejmka, tak to określmy, stał się pewnym symbolem odnowy teatru w Łodzi. Nie oznacza to, że od razu wszystko samo się zmieni. Ale już dziś trzeba myśleć o teatrze łódzkim innymi kategoriami. Dotychczas patrzyliśmy na teatr jako na instytucję, która ma za zadanie realizować pewien plan repertuarowy, wprowadzać na scenę określone pozycje klasyki i dramaturgii współczesnej. Dziś musimy patrzeć na teatr jako na wypowiedź artysty zanurzonego w tkankę czasu i czułego na cały system nerwowy tej tkanki, której na imię współczesność. Przykładem tak realizowanego teatru jest dla mnie „Operetka" i „Garbus", spektakle pokrewne w zakresie rozwiązań formalnych i aktorskich, jak również poszukiwań i konstatacji natury ideowej. One także mają charakter sygnalny. Mówią nam bowiem, że Dejmek zamierza obrać zupełnie inną drogę rozwoju Teatru Nowego, a w każdym razie różną od tej, którą proponował i prezentował za swej pierwszej dyrekcji w latach 1949—1962. To także sprawa dość istotna, ponieważ będziemy mogli w najbliższym czasie obserwować zmianę drogi twórczej artysty wielkiego formatu, znaczącego w dziejach całego naszego teatru.

KONRAD FREJDLICH: Wsłuchując się uważnie w nasze głosy stwierdzam, że mówimy tu wciąż o trzech tylko teatrach, a przecież Łódź dzięki zmianom administracyjnym wzbogaciła się o czwartą scenę, służącą wprawdzie przede wszystkim regionowi, ale także i miastu. Zastanawiam się dlaczego nie mówimy tu w ogóle o Teatrze Ziemi Łódzkiej?

JERZY PANASEWICZ: To chyba temat niemal do osobnej dyskusji. Działalność dyrektora Perza jest interesująca i niepokojąca zarazem. Interesująca, bo jest to człowiek teatru o ogromnych ambicjach, próbujący wciąż szukać. Znalazł i wprowadził na scenę Łunaczarskiego, wprowadził Giordana Bruna, przypomniał, po stu latach, „Niewolnika" Czerwieńskiego. Zarazem zespół aktorski tego teatru jest słaby. Ludzie idą tam niechętnie, bo warunki pracy w terenie są bardzo ciężkie, i nie da się tego wyrównać zarobkami. W ubiegłym sezonie Perz był w nieustannym poszukiwaniu jednej, słownie: jednej młodej aktorki w miarę możności z dyplomem. I nie znalazł. Jeśli sztuki funkcjonują na zasadzie znaleziska, są niesprawdzone, to muszą mieć niedostatki. Taki „Niewolnik" nie jest przecież arcydziełem. I żeby braki te nie raziły, trzeba dać sztuce znakomitą obsadę, a na to Teatru Ziemi Łódzkiej po prostu nie stać. Perz wkłada mnóstwo pracy i serca, ale w warunkach, jakie ma do dyspozycji, efekt artystyczny musi być niezadowalający. A przecież spektakle te pokazuje się później w objazdach.

My, recenzenci, pisząc o Perzu mamy wiecznie rozdarte serce, bo z jednej strony widzimy ambicję, dobrą wolę i fachowość tego artysty i zdajemy sobie sprawę, że jest to jedyna szansa tego teatru, żeby został spostrzeżony, już nie tylko w Łodzi, ale nawet w Polsce. Przecież „Niewolni-

Dalszy ciąg na str. 6

SEZON KAZIMIERZA DEJMKA?

TEATR POWSZECHNY
Stefan Żeromski: „TUROŃ".
Reżyser — Roman Kłosowski, scenografia — Wojciech Sieciński
Hubert — Bronisław Wrocławski, Jakub Szela — Włodzimierz Saar.
Fot. A. Brustman

Dalszy ciąg ze str. 5

ka" nikt w dwudziestym wieku u nas nie oglądał. Ale ten typ działalności kwalifikuje się raczej do teatru stacjonarnego niż objazdowego. Czy w nowym układzie administracyjnym Teatr Ziemi Łódzkiej, jako objazdowy, ma rację bytu? Ja bym nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

KONRAD FREJDLICH: Bo chyba trzeba je inaczej postawić. Wydaje mi się, że Teatr Ziemi Łódzkiej powinien mieć dwie sceny: stałą i objazdową.

JERZY PANASEWICZ: Zgoda. Tak są przecież urządzone teatry w mniejszych ośrodkach: w Kielcach, Jeleniej Górze, Olsztynie. Teatr Ziemi Łódzkiej w swoim dotychczasowym kształcie przeżył się i model repertuarowy teatru zaproponowany przez Jana Perza jest modelem przyszłościowym, realizowanym jednak w starych warunkach.

Mówiąc o kłopotach Perza z zespołem aktorskim wspomniałem o pieniądzach. My w dyskusjach tę kwestię często pomijamy, a chodzi tu po prostu o kwoty jakie wnosi widz płacąc za bilety.

KONRAD FREJDLICH: Teatry mają plany wpływów.

JERZY PANASEWICZ: Otóż to. W dawnych latach, kiedy w Wydziale Kultury odbywały się regularne oceny repertuarowe, recenzentów zapraszano na nie, nie zapraszano natomiast na narady poświęcone finansom teatrów. Istniała bowiem prawidłowość, że teatr pochwalony przez nas za repertuar był ganiony na naradzie finasowej za złą gospodarkę, a teatr pochwalony na naradzie finansowej był wcześniej zjechany za repertuar. Ostatecznie każdy wychodził na remis. Jak teatry radzą sobie z tą presją finansową? Po prostu działają dwuliniowo. Jeśli Teatr Ziemi Łódzkiej wystawia powiedzmy „Wyzwolenie" czy nawet dramat dotąd nieznany jakim jest „Niewolnik", musi się zastanawiać czym za to zapłacić. Więc obok tego wprowadza do repertuaru „Komedię rodzinną" Kocyłaka, której tekst jest bardzo słabiutki. Jest to po prostu cykl połączonych skeczy, ale widownia na nie przyjedzie. Na „Niewolnika" zapracuje Kocyłak. Na jedną pozycję ambitną musi pracować inna, poniżej wszelkiego poziomu, bo ambitna będzie miała mniejszą frekwencję. W Teatrze Jaracza posiadającym trzy sceny, na wszystkie pracuje jedna „7,15". „Trędowata" przez dłuższy czas była dostarczycielką środków płatniczych i jest dotąd, choć jej żywot już się kończy. „Łeztern" miał 200 przedstawień, wszedł przecież na scenę za dyrekcji Żukowskiego, a pracował na teatr także po objęciu dyrekcji przez Maciejowskiego. Fenomenem jest to, że także „Tango" Mrożka — grane na głównej scenie, okazało się spektaklem dochodowym. Często jest bowiem tak, że spektakl przez nas chwalony nie znajduje widza i nikt go nie ogląda, natomiast spektakl pomijany przez nas w dyskusjach, słaby, ma pięciokrotnie większą widownię niż dobry. Mówiąc o pieniądzach mówię o widzach, bo to są wpływy za konkretnie sprzedane bilety.

KONRAD FREJDLICH: To są także konkretne przeżycia estetyczne tych widzów.

JERZY PANASEWICZ: Oczywiście, ileż bowiem widzów wyniosło łezkę z „Trędowatej", a ilu nie chciało pójść na spektakl wartościowy i ambitny. Teatr Powszechny ma jedną scenę, na której musi zapracować na wszystko. Prawdopodobnie miał jakieś zapasy repertuarowe, skoro tak długo mógł pracować nad „Turoniem" i z kolei nad „Szwejkiem". Dogrywał bajkę. Kiedy się patrzy na jego repertuar z perspektywy paru lat, to „Bajka o Czerwonym Kapturku" jest tam jedną z najczęściej granych pozycji. Teraz jest „Turoń" dla honorów domu. Jeśli nowa dyrekcja będzie chciała zrobić coś ambitniejszego i za to jej nie potępiam, to musiała wystawić „Szwejka". Bo „Szwejk" z tą wojskową orkiestrą, która chadza przed teatrem i ze znanym, popularnym z telewizji aktorem w roli tytułowej, o którym publiczność powiada, że to nie Kłosowski tylko jej ulubiony Maliniak, będzie miał w Łodzi powodzenie. „Szwejk" zapracuje i będzie można sobie pozwolić na coś ambitniejszego. Najlepiej i w pełni zwycięsko wybrnął z presji finansowej Teatr Nowy.

KAZIMIERZ LEWKOWSKI: Teatr Ziemi Łódzkiej adresuje swoje propozycje do konkretnego widza spoza Łodzi. Teatr Powszechny zabiega o odbiorcę związanego z określoną dzielnicą, środowiskiem. Teatr Jaracza ma nieco bardziej wymagającą publiczność, niemniej scena „7.15" adresowana jest do tych widzów, którzy lubią wszelkiego rodzaju melodramaty i chętnie na nie przychodzą Natomiast z Teatrem Nowym jest zupełnie inaczej. Jeszcze w okresie poprzednim, przed rokiem 1962 znajdował on odbiorcę w środowisku uniwersyteckim i intelektualnym. Potem przez 10 lat nieobecności Dejmka układ ten uległ zmianie. Wymagająca publiczność skarżyła się prasie, że musi jeździć do teatru do Warszawy. Teraz, z chwilą powrotu Dejmka, ta publiczność wróciła do jego teatru. Dlatego może on sobie pozwolić na połączenie wysokiego poziomu artystycznego i poziomu finansowego teatru tak dalece, że w ciągu całego sezonu nie musi iść na kompromis. Cała ta sprawa wiąże się silnie z odbiorcą, z widownią, która jest zawsze widownią konkretnego teatru. Każdy łódzki teatr ma w zasadzie wypracowaną własną widownię, do której adresuje swoje propozycje artystvczne I oceniając całokształt działalności teatru warto zwrócić uwagę na to, co ma zasadnicze znaczenie. Teatr bowiem, przypomnę truizm, to ludzie po jednej i po drugiej stronie rampy. Żeby spektakl się odbył, obie te społeczności muszą zaistnieć w teatrze. Bowiem i twórcy i odbiorcy współdziałają w tworzeniu oblicza sceny. Konfiguracja odbiorcy jest w teatrach decydującym elementem w kształtowaniu repertuaru.

JERZY PANASEWICZ: Tak, dobrze, ale pan wyjaśnia mechanizm tego zjawiska, a ja chciałem tylko przypomnieć fakty. Dejmek osiągnął najpełniejszy sukces, ponieważ na swoich najważniejszych spektaklach miał rzeczywiście własną publiczność. Oczywiście na „Operetce" było mnóstwo nieporozumień, sporo osób wychodziło z przedstawienia po pierwszym akcie, kiedy zorientowały się, że „Operetka" to wcale nie operetka. Ale zdecydowana większość publiczności trafiła tam wiedząc na co idzie i kogo ogląda.

JERZY BĄBOL: Zastanawiam się, czy niezbyt pochopnie zgodziliśmy się z tezą, że w ostatnim sezonie mamy do czynienia ze zmianą jakościową w teatrach łódzkich. Po prostu jest to sezon Kazimierza Dejmka. Czy bowiem to, co na początku nazwaliśmy ożywieniem, odczuwa tak samo jak my, widz w Łodzi i opinia pozałódzka. Kiedy byłem na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych z Teatrem Nowym słyszałem w antraktach dwie tylko odzywki. Pierwsza, że jak na Łódź, to bardzo dobre. Druga, że Dejmek wystawił „Operetkę" tak dobrze, bo chce wrócić do Warszawy. Zastanawiam się czy opinia pozałódzka i nasza publiczność na miejscu nie uważa, że jest to po prostu sezon, w którym tylko Kazimierz Dejmek zrealizował kilka wybitnych spektakli. A przecież to nie oznacza, że cały sezon teatralny w Łodzi jest inny, lepszy niż wcześniejsze.

KONRAD FREJDLICH: Ale sukces Dejmka rzutuje na sytuację innych teatrów.

JERZY BĄBOL: Czy zarzutował?

KAZIMIERZ LEWKOWSKI: Mówiłem już poprzednio o symbolach. Dejmek jest nazwiskiem sygnalizującym przemiany, które mogą zaistnieć w całej teatralnej Łodzi. Nie chodzi mi tu o cząstkową ocenę bieżącego sezonu, ale o przyszłość wszystkich naszych scen, którą ja widzę optymistycznie. Nie zapominajmy, że sprawa teatru łódzkiego leży na sercu nie tylko nam, rozmawiającym przy tym stole, ale także twórcom i realizatorom oraz publiczności. Wypowiedź warszawian na temat powrotu Dejmka do stolicy jest charakterystyczna, bo oni uważają, że jeśli ktoś dobrze coś robi poza Warszawą, to dlatego tylko, żeby tam wrócić, pojechać i zamieszkać.

KONRAD FREJDLICH: Ależ Dejmek „dobrze robił" zanim w ogóle wyjechał do Warszawy.

KAZIMIERZ LEWKOWSKI: No właśnie. Dejmek stworzył Teatr Nowy w latach 1949—1962 nie dlatego, że chciał wyjechać do Warszawy, ale dlatego, że odczuwał konieczność własnej artystycznej wypowiedzi.

KONRAD FREJDLICH: Nie wiem, czy panowie się ze mną zgodzą, ale gdybyśmy nie mieli w Łodzi Teatru Nowego...

JERZY BĄBOL: To nie mielibyśmy sezonu.

KONRAD FREJDLICH: Ale mówilibyśmy prawdopodobnie o „Turoniu", jako o wydarzeniu.

KAZIMIERZ LEWKOWSKI: Mielibyśmy inną płaszczyznę porównawczą. Ale dobrze się stało, że punktem odniesienia w naszych rozważaniach o działaniach artystycznych teatrów łódzkich są realizacje Kazimierza Dejmka. I chyba dobrze, że jest w Łodzi ktoś, kto realizuje pozycję po pozycji wykraczające swym znaczeniem poza granice naszego miasta. Byłem na kilku spotkaniach, w których uczestniczył Dejmek i artyści tego teatru, gdzie publiczność tak właśnie określała swoje odczucia. Najwspanialszą funkcją teatru jest bowiem to, że swoim działaniem zmusza on nas, żeby do niego przyjść. Oczywiście nie każdy teatr. Ale dziś, w przeddzień święta teatru, powinniśmy życzyć każdej scenie, aby znalazła w sobie siłę zdolną sprawić, aby publiczność przychodziła na spektakle z ochotą, a nawet z wewnętrznej konieczności.

PIOTR SŁOWIKOWSKI: Kiedy wyblakną już wspomnienia, to ten sezon zostanie pod znakiem „Operetki". Będzie to największe wydarzenie w historii teatru polskiego ostatnich lat zarówno ze względu na to, co proponuje nam Gombrowicz, jak też Dejmek, który w ten właśnie, zaprezentowany na łódzkiej scenie sposób go odczytał.

KONRAD FREJDLICH: Tak jak kiedyś wydarzeniem była „Historia o chwalebnym zmartwychwstaniu Pańskim" w inscenizacji Dejmka. Chciałem tutaj poddać jeszcze pod rozwagę rolę, jaką w kształtowaniu świadomości teatralnej społeczeństwa, spełniamy my, recenzenci, ale widzę teraz, że to osobny i chyba nie mniej kontrowersyjny temat niż spór o dorobek teatrów łódzkich. I niezależnie od tego, jaka jest nasza ocena, jedno jest pewne, że sporo się w Łodzi zmieniło na lepsze nawet gdy rozpatrywać ten dorobek jako całość. Dziękując panom za rzetelny wkład do tej dyskusji chciałbym zarazem, myślę, że i w waszym imieniu, życzyć dyrektorowi Kazimierzowi Dejmkowi, aby mu tu, w Łodzi, wyrośli równie ambitni konkurenci. Samotność bowiem jest przywilejem artysty, ale zbiorowe działanie pozwala rozszerzyć teren penetracji, staje się także zachętą do wysiłków, które na trwałe zapisują się w dziejach kultury.

PAŃSTWOWY TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ
Bolesław Czerwieński
„NIEWOLNIK"
Reżyseria — Jan Perz
Scenografia — Rajmund Strzelecki
Na zdjęciu: (od lewej) Hipoktenes — Remigiusz Rogacki, Nerwa — Włodzimierz Tympalski

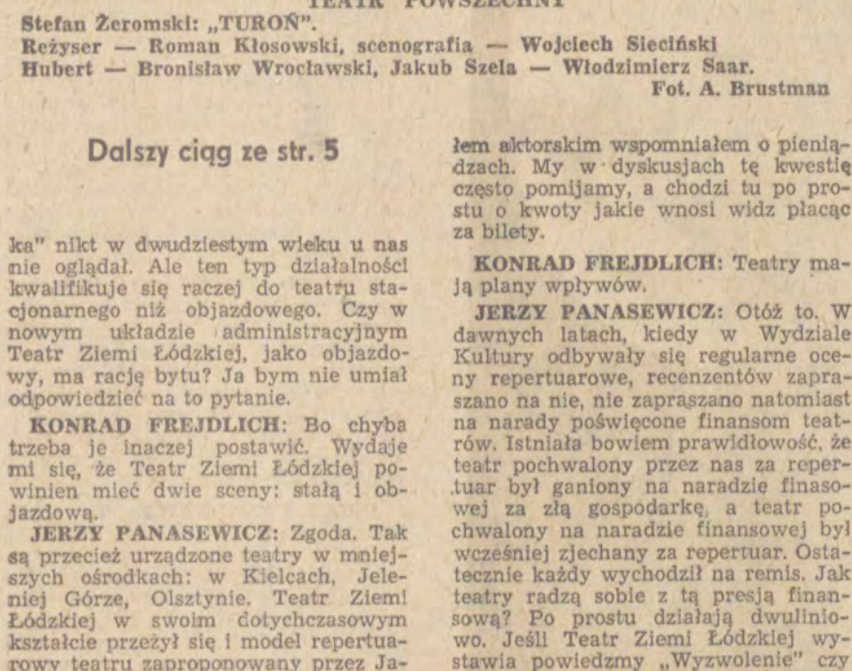

TEATR NOWY — MAŁA SALA
Antoni Czechow: „WUJASZEK WANIA"
Reżyser — Witold Zatorski
Hanna Zembrzuska — Helena, Mirosława Marcheluk — Sonia.
Fot. J. Neugebauer

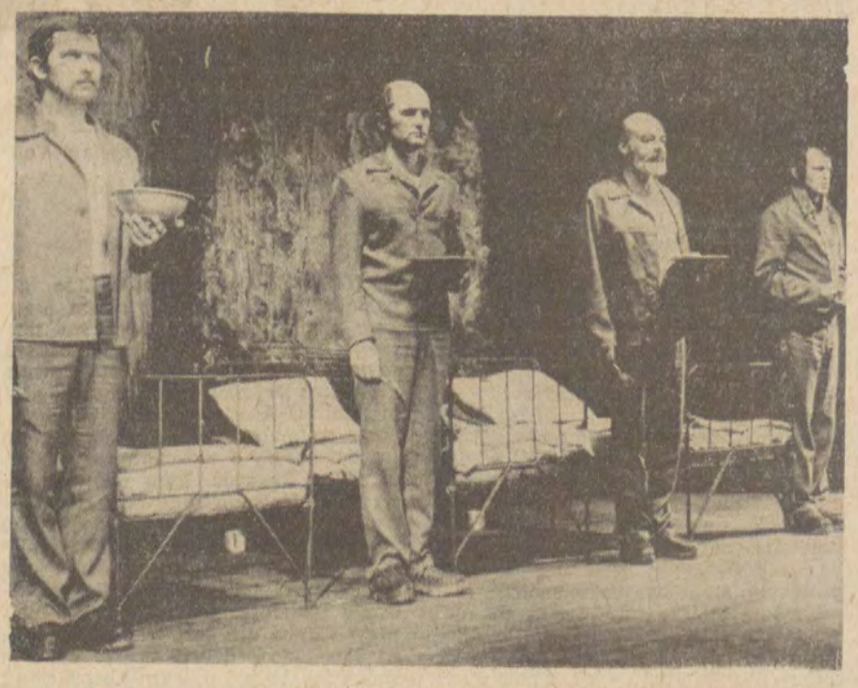

TEATR im. STEFANA JARACZA
Jean Cau: „LITOŚĆ BOGA".
Reżyser — J. Maciejowski, scenografia — B. Krawczyk-Szajdzińska.
Aleks — Ireneusz Kaskiewicz, Eugeniusz — Stanisław Jaroszyński, Doktor — Jerzy Przybylski, Match — Mariusz Leszczyński.
Fot. A. Brustman

MOJE DZIECKO JEST NAJLEPSZE

Foto. W. Parys

Dalszy ciąg ze str. 1

Ubiegłoroczny jeszcze piątkowicz staje się trójkowiczem, co szczególnie boleśnie przeżywają rodzice piątkowicza. W klasie piątej najwięcej pada dwój z nowych przedmiotów: rosyjskiego, historii, geografii.

Tatuś eks-piątkowicza, pan jeszcze młody, lecz już na wysokim stanowisku, wykształcenie wyższe, oświadcza:

— Mój syn, dotąd najlepszy uczeń, nigdy nie miał najmniejszych kłopotów z nauką. Nic zresztą dziwnego, ponieważ podczas badań testowych u psychologa wykazał się w grupie najwyższą ilością punktów na inteligencję. Teraz, widzę, oceny niedostateczne z rosyjskiego. Początkowo sądziłem, że to tylko przypadek, ale słyszę właśnie, że owa pani nauczycielka od rosyjskiego stawia dwójki nagminnie. Czyżby to była nowa metoda nauczania? Sądzę, że należałoby podyskutować z ową panią na temat jej nowych metod nauczania... Mój syn uczy się sumiennie i wiem, że umie rosyjski. Skąd więc dwóje? Sądzę, że metodą stawiania dwój pani ta nie nauczy dzieci języka, a więc wniosek nasuwa się jeden...

Syn też wyciągnął wniosek. Na najbliższej lekcji języka rosyjskiego zachował się prowokująco. Nauczycielka zwraca mu uwagę. Młody człowiek burczy pod nosem, ale tak, że wszyscy go słyszą: — **Och, ty klempo, mój tatuś ci pokaże.**

PRZYKŁAD DRUGI:

Wywiadówka, klasa szósta szkoły podstawowej. Matka (pracownik umysłowy, wykształcenie niepełne wyższe):

— Mój syn jeszcze nigdy mnie nie okłamał. Co tydzień podpisuję mu oceny w dzienniczku uczniowskim. Teraz nagle, przed zebraniem rodzicielskim, widzę: dwója z polskiego. Syn twierdzi, że nie wie, za co. Syn twierdzi, że nie wie, kiedy ją otrzymał.

Wychowawczyni i polonistka zarazem:

— Dwója za pracę klasową, jedyna zresztą w tym okresie. Otrzymał ją już dawno, dobry miesiąc temu.

Matka: — **W takim razie dlaczego ocena została wpisana do dzienniczka mego syna dopiero w tym tygodniu?**

Wychowawczyni: — **Nie umiem pani tego wyjaśnić. Moi uczniowie mają obowiązek sami wpisywać swoje oceny, to wyrabia w nich poczucie odpowiedzialności.**

Matka: — **Proszę pokazać mi wpis z dziennika klasowego.**

Wychowawczyni pokazuje.

Matka: — **To dziwne, że mój syn nie pamięta, za co otrzymał dwóję. Nigdy nie kłamie.**

Wychowawczyni: — **Może po prostu chciał ją przed panią zataić. To się dzieciom czasem zdarza. Nic wielkiego.**

Matka: — **Mój syn? Mój syn nigdy nie kłamie.**

Wychowawczyni: — **Wynika z tego, że ja kłamię.**

PRZYKŁAD TRZECI:

Liceum ogólnokształcące, trzecia licealna, pierwszy semestr, spotkanie z rodzicami i uczniami. Wychowawczyni rozkłada bezradnie ręce:

— Proszę państwa, nie wiem, co będzie, liczba ocen niedostatecznych z fizyki, matematyki, angielskiego, alarmująca. Dziewczęta opuściły się w nauce, proszę o pomoc, to przecież we wspólnym interesie.

Cisza. Dziewczęta zaczynają chichotać.

Jedna z matek:

— Moja córka ma co prawda dobry z fizyki, wybiera się na politechnikę i musi mieć dobry, ale nie wiem, czy potrafi utrzymać tę ocenę. Mąż, który jest inżynierem twierdzi, że niektóre zadania z fizyki są z zakresu pierwszego roku politechniki. Może coś z tym programem nie tak?

Jeden z ojców:

— To jest w ogóle skandal, czyżby nasze dzieci były aż takimi matołami?

Inny ojciec:

— A ja jestem święcie przekonany, że to nie wina programu a nieudolności nauczycieli. To trzeba sobie wprost w oczy powiedzieć. Nie potrafią uczyć, to stawiają dwóje, najłatwiej postawić dwóję, prawda? Moja córka jeszcze w ubiegłym roku miała ocenę dobrą z fizyki. Teraz ma niedostateczną. Fizyk po prostu uwziął się na nią. Prześladuje na każdej lekcji...

Dziewczęta:

— To nieprawda!

— A wy, cicho. Wy też jesteście dobre, córka mi opowiadała o was, każda z was ściągała od niej zadania. Ja już chodziłem do dyrektora, nie pozwolę, aby ktokolwiek niszczył moje dziecko. Ona jest wrażliwa, nerwowa, mam zaświadczenie od lekarza. Jak ten pan nie potrafi uczyć, to niech zmieni zawód. Ja nie daruję...

Wychowawczyni usiłuje przerwać. Rodzice głośno potakują.

— Ma rację!

Dziewczęta:

— To wszystko nieprawda!

Zaczyna się pyskówka. Grożenie prokuratorem, Komitetem Centralnym. Wreszcie dyskusję przerywa młodzież występując w obronie nauczyciela, przyznając mu się nie tylko do swego nieuctwa.

OCZYMA NAUCZYCIELI

Opowiada dyrektor szkoły podstawowej:

— Telefon. Podnoszę słuchawkę. Męski głos: „Dyrektor szkoły? Mówi prokurator. Proszę zwolnić moją córkę z trzech ostatnich godzin lekcyjnych". Ja bardzo grzecznie: pan wybaczy, ale moja szkoła liczy około pół tysiąca uczniów i nie wiem, której z uczennic jest pan, panie prokuratorze, ojcem. Gdyby więc zechciał mi się pan najpierw przedstawić... Cisza po drugiej stronie słuchawki, głos rzuca niewyraźnie swoje nazwisko i wręcz nakazuje zwolnić córkę z lekcji. Ręce mi się już trzęsą, ale zachować muszę głos uprzejmy: Bardzo proszę załatwić tę sprawę z wychowawczynią córki. Teraz prokurator nie ukrywa swego oburzenia: „Zwracam się do pani jako dyrektora szkoły, oczekując odpowiedzi. Nie będę tracił czasu na rozmowy z wychowawczynią..."

Opowiada nauczycielka szkoły podstawowej:

— Pełnię dyżur w wieczór sylwestrowy w świetlicy środowiskowej. Do domu mam ponad godzinę drogi — mieszkam w drugim końcu miasta. Na kilka minut przed zamknięciem wchodzi pani, przyprowadza dwoje dzieci, uczniów z naszej szkoły. Protestuję. Matka: „To pani obowiązek, za to pani płacą. Musi pani przetrzymać moje dzieci, mam umówionego fryzjera". Potem ta matka składa na mnie skargę u dyrektora szkoły, że „odmówiłam wykonania swego obowiązku". Siedziałam z dziećmi tej pani półtorej godziny więcej niż powinnam była.

Opowiada dyrektorka szkoły:

— Zjawia się u mnie ojciec ze skargą na nauczyciela matematyki, który rzekomo uwziął się na syna. Tendencyjnie wystawił mu ocenę negatywną. Znam chłopca. Arogancki, pewny siebie, nawet bezczelny. Niewątpliwie zdolny, ale w równym stopniu leniwy. Wyniki ogólne — bardzo mierne. Na dobrą sprawę powinien mieć kilka ocen niedostatecznych, nie tylko tę jedną. Cóż, słucham. Ojciec w pewnym momencie z uprzejmym uśmiechem wyraża przekonanie, iż okażę sprawiedliwość i... kładzie na moim biurku kopertę. Jest w niej pięćset złotych. Zalewa mnie przysłowiowa krew, ale przecież mam takt wpisany do etatu, ja nie mam prawa być nieuprzejma. Odpowiadam, że moja pensja jak dotąd doskonale mi wystarcza na moje potrzeby i proponuję uznać ów przykry fakt za niebyły.

Po kilku dniach wezwanie do Inspektoratu. Skarga na mnie. Autor, ów rodzic, który spełniając swój społeczny obowiązek pragnie poinformować władze oświatowe, iż dyrektorka szkoły nadużywa swojej władzy, zachowuje się w stosunku do rodziców jak dygnitarz. Ze skargi wynika niezbicie, że brak mi kultury i kompetencji, nawet nie raczyłam wysłuchać petenta, który przyszedł, ponieważ pragnął ofiarować swoją pomoc szkole.

Opowiada nauczycielka:

— Mam dyżur w wigilijny wieczór w świetlicy środowiskowej. Zostało już tylko dwoje dzieci, maluchy z drugiej klasy. Robi się późno. W moim domu czekają na mnie moje dzieci, moja rodzina. Denerwuję się. Pytam dziecka, dlaczego nie idą do domu? „Mamusia zabroniła. Piecze ciasta na święta, a tatuś podłapał fuchę i zarabia pieniądze".

Opowiada dyrektorka szkoły:

— Wydałam bezwzględny zakaz wstępu rodzicom na teren szkolnej stołówki. W taki sposób skończyłam z rozgrzebywaniem dzieciom jedzenia na talerzach, ze skargami: „Moje dziecko dostało mniejsze jabłko, moje miało żyły zamiast mięsa, dlaczego w zupie jarzynowej były same kartofle".

Suma opinii o rodzicach: Żądają i wymagają. Jakby szkoła była placówką usługową, lub przechowalnią dzieci. Wymagania ogromne, świadczenia na rzecz szkoły żadne, lub prawie żadne, najczęściej wymuszane. Komentuje się wszystko, począwszy od ubioru nauczycieli, ich gustów, a skończywszy na ocenie ich umiejętności, a nawet przydatności zawodowej. Zauważa się wszystko: makijaż nauczycielki (umalowała sobie usta szminką transparentową, jaki daje przykład dziewczętom), zbyt jaskrawy kolor swetra (może mieć więcej gustu, młodzież na to patrzy). Nie zauważa się ciężkiej pracy i wysiłków nauczycieli. Wydaje się wiele ocen krzywdzących wypowiadając je w obecności dzieci.

ROZMOWA W TRAMWAJU

Ubiegły rok, połowa maja. W tramwaju luźno. Dwie panienki rozmawiają głośno, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Pierwsza: — **Ale chryja, nie? Powiedziałam mu, że w piąty poszło.**

Druga: — **No. Minę miał, ojejku. Aż zbladł.**

Pierwsza: — **Wypinam się na niego.**

Druga: — **Ale on ci teraz na pewno wlepi bombę.**

Pierwsza: — **No to co? Poza tym: czy wlepi? Każą mu poprawić i koniec.**

Druga: — **Jak to — każą?**

Pierwsza: — **A co, myślisz, że szkoła nie musi wykazać się wskaźnikami? Stary mi to powiedział, że dostają zmywanie głowy za każdą bombę. Stary powiedział, żebym się nie rozmieniała na drobne. Do czego mi ta chemia? Na anglistyce? Nie będę marnowała czasu. Chemia mnie nie interesuje. I tak mu powiedziałam.**

Druga: — **No, powiedziałaś.**

Pierwsza: — **Z anglika jaka jestem?**

Druga: — **Najlepsza.**

Pierwsza: — **No, właśnie. A z polaka? Dobra. Z ruskiego: dobra. Z historii: dobra. Mam go w garści. Takiej uzdolnionej humanistycznie uczennicy nie pozwolą postawić bomby. Stary mi to powiedział. I powiedział, że jakby co, to już załatwi. Stary ma plecy.**

PRÓBA UOGÓLNIENIA

To niesłychanie ważna relacja: rodzice a szkoła. Relacja, której proporcje z całą pewnością uległy zachwianiu. Konsumpcyjny stosunek rodziców do szkoły, ich często negatywny stosunek do pracy nauczyciela — jawny, otwarty, a nawet demonstracyjny; wreszcie ich wymagania — jak zauważyła jedna z dyrektorek, pełniąca swe funkcje od wielu lat, a więc doświadczony praktyk — równające się wymaganiom stawianym placówkom usługowym, zachwiały prawidłowość proporcji. Przykłady cytowane powyżej nie wymagają komentarzy. Tak tworzy się na co dzień potoczną opinię o polskiej szkole i polskim nauczycielu. Potoczna opinia jest najgroźniejsza. Obniżany prestiż szkoły. Młodzież przejmuje opinie dorosłych i uznaje je za własne, lekceważąc sobie to, co powinna szanować: szkołę i naukę.

EWA OSTROWSKA

FILM

„KAZIMIERZ WIELKI"

Film Ewy i Czesława Petelskich pt. „KAZIMIERZ WIELKI" był ogromnym przedsięwzięciem realizatorskim. Informatory donoszą, że uczestniczyło w nim ponad 150 aktorów, że przygotowano dla filmu tysiące rekwizytów, że w scenach batalistycznych uczestniczyło kilkaset koni, a zdjęcia realizowano w wielu obiektach zabytkowych Polski, Czechosłowacji, NRD i Francji (Carcasonne) oraz w atelier w Łodzi i w Barrandovie. Efekty tych przedsięwzięć są w filmie widoczne, odznacza się on niewątpliwie wyraźną troską o próbę rekonstrukcji obrazu odległej epoki panowania tego polskiego władcy, któremu naród nadał przydomek Wielki.

Nie dysponując okiem historyka — mediewisty czy historyka sztuki czułam się usatysfakcjonowana owym obrazem epoki w sensie architektonicznym, scenograficznym i kostiumowym. Dysponując wiedzą historyczną w wymiarze, który obowiązuje tzw. wykształconego człowieka, nie czułam się jednak usatysfakcjonowana w sensie poznawczym. Sądzę, że film „Kazimierz Wielki" Ewy i Czesława Petelskich zawiódł wielu.

Co w potocznej świadomości historycznej znaczy imię i panowanie Kazimierza Wielkiego, jakie fakty historyczne i społeczne z nim łączymy? Ten wybitny polityk i gospodarz w blisko czterdziestoletnim okresie swych rządów niemal dwukrotnie powiększył obszar państwa, z którym sprzągł pojęcie „Corona Regni Poloniae". Był znakomitym dyplomatą, co pozwalało mu odnosić sukcesy w konfliktach z innymi władcami i z Zakonem Krzyżackim, w 1364 roku był także mediatorem w sporze Habsburgów z Luksemburgami. Ogromne zasługi dla wewnętrznego wzmocnienia państwa uczyniły go synonimem władcy kierującego się praworządnością i mądrością gospodarczą. Ekonomicznie umocnił państwo przez opiekę nad chłopstwem (przypomnijmy tu choćby, że J. I. Kraszewski nazwał go „królem chłopów"), przez opiekę nad handlem i rzemiosłem oraz rozwojem miast. Umiał niezwykle skutecznie walczyć z głodem i zarazą. Przeprowadził reformę pieniądza i skodyfikował prawo (Statuty Wiślickie), uczynił wiele dla obronności kraju — wzniósł około 40 zamków warownych i wprowadził powszechny obowiązek zbrojny. Na kilka lat przed śmiercią założył pierwszą w Polsce wyższą uczelnię — Akademię Krakowską. Reprezentował przy tym bujną osobowość i takie też było jego życie prywatne.

To krótkie i z konieczności powierzchowne przypomnienie danych podstawowych jest niezbędne, by odpowiedzieć na pytanie, co z tego pozostało w filmie Ewy i Czesława Petelskich. Jeśli powiem, że w sferze historyczno-poznawczej niewiele, nie będę daleka prawdy. Godzi się zatem postawić pytanie — dlaczego? Dlaczego autorzy filmu „Mikołaj Kopernik" przestraszyli się tego ogromu spraw, który z imieniem Kazimierza Wielkiego się łączy i większość z nich pozostawili poza ramą filmowej informacji i interpretacji, a przedstawili portret człowieka bardzo daleki, powtarzam, nawet potocznej wiedzy o nim?

Nie umiem na to pytanie racjonalnie odpowiedzieć. Działania gospodarcze na pewno nie stanowią wdzięcznego materiału dla sztuki, ich efekty można było jednakże pokazać. Tymczasem jedynym ich świadectwem są w filmie rusztowania stale tej samej budowli i powiększające się wnętrze zamku wawelskiego, kilka przebitek na warowne zamczysko i jedna rozmowa o tym, że drewniane budowle należy zmienić na murowane. Ogłoszenie Statutów Wiślickich, owszem, w filmie pokazano, ale znów tak jak czyni się to w „żywych obrazach" czy czytankach szkolnych. Takich naiwnych, symbolicznych sytuacji jest zresztą w filmie więcej. W ten sam też sposób funkcjonują sceny batalistyczne, przy których widz skazany jest na swą wiedzę historyczną odnoszącą się do przyczyn i finałów wielkich bitew, a historyczno-polityczny ich komentarz wydaje się przecież konieczny, by miały one swój sens w samej interpretacji historii. W to, iż Kazimierz był wielkim wodzem, politykiem i dyplomatą, też trudno uwierzyć oglądając film Petelskich.

Konkludując, decyzja o realizacji filmu o człowieku, którego życie i zasługi wiążą się w ogromnym stopniu z działaniami nie będącymi wdzięcznym dla filmowej opowieści materiałem, pociągała za sobą konieczność pójścia va banque. Należało założyć, że dzieło to nie będzie posiadać popularnych walorów atrakcyjności widowiskowej. Można też było tego filmu nie realizować. Takie jest moje przekonanie, które pogłębia jeszcze refleksja nad tymi cechami filmu Petelskich, które łączą się z samą jego koncepcją artystyczną. Uderzającym przykładem tego, że usiłowali oni pogodzić, z małym zresztą skutkiem, ambicje historiozoficzne z komercjalną atrakcyjnością, jest postać starosty Borkowica. W koncepcji realizatorów miał on wprowadzić, jak sądzę, do opowieści historycznej atrakcyjny dla szerokiej publiczności wątek awanturniczy. W efekcie stworzono postać rozbójnika odbiegającą od prawdy historycznej o tym głównym przeciwniku Kazimierza, w jego dążeniu do centralizmu królewskiej władzy. Tym samym zatracono szansę na prezentację jednego z istotniejszych problemów polityki Kazimierza. W interpretacji Wiesława Gołasa Borkowic zyskał jeszcze cechy wzbudzające radosny śmiech widowni. Podobnie publiczność reaguje, gdy na ekranie pojawia się postać biskupa Nankera (Tadeusz Fijewski). Reaguje niesłusznie, fakt, ale to nie jej wina. W obu wypadkach dochodzi bowiem do głosu naturalna reakcja na historyczną przebierankę. Krzysztof Chamiec interpretując postać króla jest prawdziwszy w jego wieku dojrzałym niżeli młodzieńczym: nie jego to jednak wina. Podobnie jak w tym, że nie w pełni udało mu się przedstawić bogatą osobowość króla Kazimierza Wielkiego. Zadecydowały o tym niedomagania scenariusza i ogólnej koncepcji historiozoficznej i artystycznej tego filmu, który po prostu nuży. Nuda pojawia się zawsze wówczas, gdy dzieło, nie niosąc walorów poznawczych, nie potrafi tego również zrekompensować urodą formalną, bądź tylko elementami czystej atrakcji.

EWA NURCZYŃSKA

SPORT

PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY

Telewizja na niedzielny magazyn DTV przygotowała piosenkę Skaldów „Wiosna". Okazało się, że do wiosennych zdjęć filmowych zrobionych wcześniej trzeba było szybko domontować zdjęcia ośnieżonych drzew, dzieci na sankach i padającego śniegu. Radiowe „Sygnały dnia" odwołały oficjalnie wiosnę w poniedziałek rano (22 marca 1976 roku). A w środę kadra reprezentacyjna Polski spotka się wprawdzie w towarzyskim, ale nie mniej prestiżowym meczu z Argentyną. Komu zima pomoże, a komu zaszkodzi na Śląskim Stadionie w Chorzowie?

Gdybyśmy to mogli przewidzieć. Argentyńczycy grali w złych warunkach w ZSRR i pokonali tamtejszą reprezentację 1:0. Złe warunki im jakoś nie szkodzą. Obserwatorzy utrzymują, że Argentyńczycy są w znakomitej formie. O naszych piłkarzach też nie mówi się źle, ale na ligowych boiskach w ubiegłą sobotę bywało różnie. Dziewiętnasta kolejka przyniosła niewielkie zmiany w tabeli: GKS TYCHY zajął pozycję lidera. RTS WIDZEW uplasował się na piątej pozycji. ŁKS jest 15. Różnica punktów pomiędzy poszczególnymi drużynami jest jednak niewielka i jeszcze wszystko może się zdarzyć, choć „niedzieli cudów" — jak zapewnia PZPN — już ma nie być.

Gdyby to wszystko można było przewidzieć, to prawdopodobnie wystąpilibyśmy z wnioskiem o przesunięcie Igrzysk Zimowych w Innsbrucku na początek kalendarzowej wiosny, bo właśnie teraz nasi narciarze po trochu zaczynają odzyskiwać formę. Na zawodach w ZSRS Stanisław Bobak był czwarty. Na takiej samej pozycji uplasowała się Anna Gębala.

Dobrze spisują się Wojciech Fibak i Jacek Niedźwiecki. Pokonali Szwajcarów i zakwalifikowali się do dalszych rozgrywek tenisowych Pucharu Europy. Można powiedzieć, że polscy tenisiści uwierzyli w wiosnę i postanowili na przekór aurze sprawić nam wiosenną niespodziankę. Czyli miłą niespodziankę.

Gdyby to jednak wszystko można przewidzieć. Okazuje się, że jednak można. Tak przynajmniej twierdzi Zenon Ważny na łamach „Sportowca". Dr Zenon Ważny w Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie zajmuje się m.in. określaniem możliwych rekordów przyszłości.

Postęp w sporcie dokonuje się znacznie szybciej niż by się to nam wydawało. Zmieniły się warunki i metody treningu, udoskonalono sprzęt, wykorzystuje się doświadczenia i rady naukowców i lekarzy zajmujących się sportem. A przede wszystkim niewspółmiernie rozwinęły się możliwości człowieka. Kto dziś pamięta, że na Igrzyskach Olimpijskich w Helsinkach Węgier Imre Nemeth zdobył złoty medal rzutem młota na odległość 56,07 metra. W 1971 roku W. Schmidt z RFN rzucił młotem na odległość 76,40 metra, a w 1972 roku na Olimpiadzie w Monachium Anatolij Bondarczuk rzucił na odległość 75,50 m, ustanawiając tym rekord olimpijski. I tak właściwie można byłoby w każdej z dyscyplin lekkiej atletyki wykazywać na podstawie wyników jaki postęp dokonał się tylko w tej dziedzinie sportu. Ale czy tylko w tej?

Dr Zenon Ważny — sam kiedyś skakał o tyczce — sporządził prognozę kształtowania się wyników w lekkiej atletyce do 2000 roku. Dziś o zwycięstwie decydują ułamki sekund. W biegu na przykład na 100 m od 1951 roku do 1974 skrócono czas o 2,88 proc. Na rok bieżący według opracowania dr Zenona Ważnego górna granica czasu w biegu na 100 m wynosi 9,93 sekundy. W 2000 roku wyniesie — 9,53 sekundy.

Co z tych prognoz wynika? Mogłoby się z pozoru wydawać, że dr Zenon Ważny zabawił się w futurologa i że jest to zabawa całkowicie nieszkodliwa i zupełnie niepożyteczna. Ale tak nie jest. Prognoza — choć jest tylko założeniem wynikłym z analizy dotychczasowego rozwoju dyscypliny i ludzkich oraz technicznych możliwości — powinna orientować trenerów i zawodników w takim sposobie przygotowania się, aby móc sięgać po określony pułap rezultatów. Na rok bieżący prognoza zakłada, że wynik w skoku o tyczce powinien zawierać się między 559 cm a 565 cm. Zdaniem dr Zenona Ważnego 560 cm powinno wystarczyć do zdobycia złotego olimpijskiego medalu, ale nie wyklucza on, że może paść wynik 570 cm.

Dla trójskoku dr Zenon Ważny określił średnią między 17,20 m a 17,36 m. Rekord Oliveiry jest lepszy od prognozy. Dr Z. Ważny nie wyklucza, że w Montrealu może paść wynik 17,50 metra. Prognoza bowiem nie przewiduje dokładnego wyniku, orientuje jedynie w granicach, po jakie trzeba sięgać i jakie należy przekraczać. I chociaż dr Z. Ważny przewiduje, że w 2000 roku górna granica wyniku w rzucie młotem osiągnie 93,70 m, to wcale nie będzie miał pretensji, jeśli ktoś rzuci 95 metrów, albo nawet i całe 100.

Przewidywania te mają tylko orientować i rozbudzać ambicję. Zmuszać do wysiłku mięśnie szare komórki. Zmuszać do szukania najlepszych sposobów wyrabiania formy, doskonalenia treningu, tak, aby na przykład narciarze „trafiali z formą" nie na początek wiosny, ale akurat na igrzyska.

Wcale z tego jednak nie wynika, że potrafiłabym przewidzieć wynik środowego meczu w Chorzowie. W chwili, gdy to piszę za oknem pada śnieg. Mogę tylko założyć, że gdyby w środę w Chorzowie była zawieja, to może mecz będzie odłożony. Ale wcale nie jestem pewna, czy do środy stadion chorzowski nie zamieni się w grzęzawisko. Naszym piłkarzom życzę tylko, aby nie stworzyli Argentyńczykom okazji do rewanżu za porażkę na mistrzostwach świata.

BOGDA MADEJ

REPORTAŻ

CAŁA POLSKA w Tomaszowie

Dalszy ciąg ze str. 1

nym. Posiada oczywiście swoje złe i dobre restauracje, swoje rejony wieczornych niepokojów, ale tradycje robotnicze i namacalna obecność przemysłu stwarzają ten specyficzny klimat zatroskania, powagi i walki z czasem. Mało takich, co szwendają się bez celu w godzinach pracy. Długie za to kolejki w sklepach. Pusto w kawiarniach, tłok na autobusowych przystankach. Liczne, duże i niewielkie fabryki pracują pełną parą. Kilka z nich: Wistona, Tomex, Pilica, Mazowia — zdobyły szeroki rozgłos, podobnie jak tomaszowskie zakłady filców, dywanów i chodników, jak tomaszowski Elektromontaż, Hydrobudowa i Młyny.

Tomaszów nie jest miastem ładnym, ale może wzbudzić sympatię. Czuje się w nim jakąś wewnętrzną uczciwość — nie pnie się na wielką metropolię, choć liczy bez mała sześćdziesiąt tysięcy obywateli, nie konkuruje z ościennymi, kiedyś powiatowymi, teraz wojewódzkimi miastami, choć sam posiada przecież kaliber wojewódzki. Nie wydaje jak Łęczyca, Pabianice czy Piotrków własnej gazety. Muzeum w Tomaszowie nazywa się po prostu „muzeum", bez żadnych pretensjonalnych dodatków.

Ot, skoro jesteśmy przy kulturze... W podcieniach na placu Kościuszki zobaczyliśmy pomieszczenie przypominające salon wystawowy. Weszliśmy i okazało się, że rzeczywiście jest to Biuro Wystaw Artystycznych Stowarzyszenia tomaszowskich plastyków amatorów.

Dowiadujemy się od **Krystyny Szmalec**, że w ubiegłym roku stowarzyszenie zorganizowało osiem wystaw o różnej tematyce. Opowieści o tym, co było i co będzie, słucham zawsze z niedowierzaniem. Obchodzi mnie „teraz", „dzisiaj', to co zobaczę. No i muszę przyznać, że to, co zobaczyłem, poruszyło moją wyobraźnię. W dobie zawodowego hochsztaplerstwa i zawodowej szmiry, tomaszowscy amatorzy nie tylko wyłamują się z szablonów, ale zadziwiają opanowaniem warsztatu.

Między mną a Krystyną Szmalec, taki mniej więcej dialog:

Ja: — To też amator? — I wskazuję portret kobiety.

Ona: — **Tak.** — I uśmiecha się z zażenowaniem.

— A co on robi?

— **Pracuje w zakładzie szklarskim. Nazywa się Franciszek Pośpiech. Starszy już człowiek, ale bierze udział we wszystkich naszych konkursach i wystawach.**

— A ten? — Staję przed obrazem Wietnamki z trupem dziecka przy piersiach.

— **Również amator. Mirosław Saliński, młody, dwadzieścia parę lat, zatrudniony w handlu. Poza malarstwem uprawia także grafikę i rzeźbę.**

Przechodzę od obrazu do obrazu. Nie jestem krytykiem, roszczę sobie jednak prawo do porównań. Widziałem wiele różnych, przesławnych galerii w paru dziesięciu krajach świata. Tomaszowscy amatorzy nie odkrywają wprawdzie nowych horyzontów, ale na moje dyletanckie oko mogliby przyprawić o niestrawność niejednego polskiego profesjonalistę-cmokiera.

Przedstawicielka Wydziału Kultury nakłania mnie, abym złożył wizytę czynnikom oficjalnym.

Nic z tego.

To, co na papierze, w zamysłach i w ustach, proszę sobie zachować na konferencje sprawozdawcze. Nie przyjechałem zresztą w sprawach kultury. Potrącam ją tylko mimochodem. Widzac, że jedno z dwu kin, Mazowsze, jest w tak zwanym remoncie — co zapowiada wielomiesięczną przerwę w projekcjach — stwarzam dla opisanego wyżej, pięknego incydentu malarskiego prawdziwy kontrapunkt.

Powodowany nieomylnym węchem wkraczam przez czeluść sypiącej się, strawionej wilgocią bramy na podwórko posesji przy placu Kościuszki 7. Na placu stoi kilkadziesiąt niebieskich autobusów i kłębi się mrowie podróżnych, odjeżdżających i przyjeżdżających ze wszystkich rejonów kraju. Na podwórku żerują szczury, myszy i zdziczałe koty: pośrodku kilka przepełnionych puszek na odpadki i usypisko śmieci: kłaki z dwóch zakładów fryzjerskich, gnijące warzywa i owoce z pobliskich sklepów spożywczych, kał, uryna, pety, flachy. A dookoła, w komórkach, klitkach, obok cuchnących ogólnie dostępnych latryn, mieszkają ludzie. Młodzi, starzy i dzieci.

Szlag mnie trafia, że nie ma fotoreportera. Przywołuję go, kiedy robi akurat zdjęcie szturmującej autobus babinie w opoczyńskiej zapasce.

— **Co jest?** — pyta fotoreporter.

— Zobacz! — I prowadzę go na to podwórko.

W szparach drzwi, w oknach, zaciekawione, wymizerowane twarze kobiet. Któraś krzyczy:

— **Telewizja!**

Inna:

— **Nie trzeba nam żadnych zdjęć! Dosyć się człowiek przed miastem nawstydzi!**

Jeszcze inna:

— **Właśnie, że trzeba! Ja tam się nie wstydzę! Niech się za mnie wstydzi władza.**

Pies bez kagańca i łańcucha ujada, ale nie atakuje. Wygląda na to, że chętnie zatopiłby zęby w łydce fotoreportera, ale brzydzi się przebiec przez to zaświńtuszone podwórko.

Kobieta monologuje: — **Wyburzą nas dopiero w osiemdziesiątym, za pięć lat. Co parę dni składa nam wizytę Sanepid, bo te szczury grożą przecież zarazą. Jak brudno jest w lokalu, to się go zamyka, ale nie można zamknąć podwórka, ani domu, mieszkań, bo musimy przecież gdzieś spać. Więc znudziły się już wszystkim te wizyty Sanepidu. Wszyscy zawalają nas śmieciami, sromota, „cała Polska" wysiada z autobusów, my się jej wstydzimy, a ona... wali chmarą do naszych ustępów.**

Długo jeszcze rozmawiam z mieszkańcami nieszczęsnej posesji. Po tej rozmowie mógłbym natychmiast wracać. Materiał, który zebrałem, jest wstrząsający. Nie wykorzystam go jednak, póki co. Trzeba dać władzom szansę. Za parę miesięcy przyjadę tu jeszcze raz.

Na tym samym placu Kościuszki, pod numerem osiemnastym, mieści się w żółtym, pięknym od zewnątrz, brzydkim i ciasnym wewnątrz budynku Sąd Powiatowy. Straszny ścisk. Do tablicy informacyjnej przyszpilone pineską ogłoszenie:

„**Zostało wszczęte postępowanie o uznanie za zmarłego Kazimierza Ziętka, ur. 16 stycznia 1916 roku w Tomaszowie Mazowieckim, syna Bolesława i Marianny z domu Jabłońskiej, ostatnio zamieszkałego w Tomaszowie Mazowieckim, który w roku 1939 brał udział w działaniach wojennych, w czasie których prawdopodobnie zginął. Wniosek złożyła Marianna Ziętek, zamieszkała w Łaziskach Górnych, ul. 1 Maja 20. Nr sprawy NS 227/75. Sąd Powiatowy w Tomaszowie Mazowieckim wzywa zaginionego, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosił się w wymienionym na wstępie Sądzie, gdyż w przeciwnym wypadku może być uznany za zmarłego**".

Figlarna stylistyka sądowa. Na miejscu Kazimierza Ziętka przeraziłbym się i wstał, choćby z grobu.

Sąd jednak jest przede wszystkim dla żywych. W ciasnych salkach toczą się mini-procesy. Kolejki pod drzwiami. Na schodach grupka ładnych, nastoletnich panienek w licealnych mundurkach. Podchodzę do nich i pytam, jakbym miał do tego prawo:

— Dlaczego nie jesteście w szkole?

Milczą.

— Stało się co?

Po dłuższym wahaniu jedna z nich odpowiada:

— **Kolegę sądzą.**

— W której sali?

Pokazuje klitkę na parterze.

— Za co?

Chcą udowodnić, że są bardzo dojrzałe i przebiegłe, mówią zatem:

— **Od nas niczego się pan nie dowie, nie z nami takie numery...**

Wracam na ulicę. Rozprawa toczy się przy zamkniętych drzwiach, ale za to przy otwartym oknie. Oskarżony, przystojniak, siedzi obok milicjanta. Tłumek obserwujący „proces" z ulicy, komentuje:

— **Prokurator zażądał półtora roku.**

— **Adwokat obśmiał się z tego.**

— **Obśmiał, nie obśmiał, swoje szczeniak dostanie.**

Wtrącam się:

— Za co?

Czterdziestoletni mężczyzna wyrokuje:

— **Za nic!**

— **Jak to: za nic!** — wrzeszczy na niego szczupła kobiecinka. — **Psa kopnąć to dla pana „za nic?".**

— A co z tym psem? — pytam.

— **Dostał butem w brzuch i zdechł** — mówi oburzona kobiecinka.

— **To było straszne bydlę, ten pies!** — kontruje ją czterdziestoletni mężczyzna. — **Bez kagańca latał, gryzł!**

Oddalam się szybko. Nie chcę sobie psuć obrazu pracowitego, uczciwego, z mozołem pnącego się w górę miasta. Przypomina mi Łódź: mam dla niego wiele ciepłych uczuć i dlatego, stronniczo, powstrzymuję raz po raz moje reporterskie zapędy.

Kiedy o zmierzchu czarna „wołga" ruszyła w drogę powrotną z Tomaszowa do Łodzi, kierowca, fotoreporter i dziennikarz baczyli przez pierwsze dwadzieścia pięć kilometrów na prawą stronę szosy. Wreszcie ukazała się Łaznowska Wola, senna, niewielka wieś, nawiedzona nocą przez wietrzysko.

Konia nie było.

Znikł wijący się w rowie drut, który go zabił.

Sam nie wiem, czemu zacząłem i skończyłem reportaż opisem tego incydentu. Koń jest po prostu duży i jego śmierć odkłada się w pamięci.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

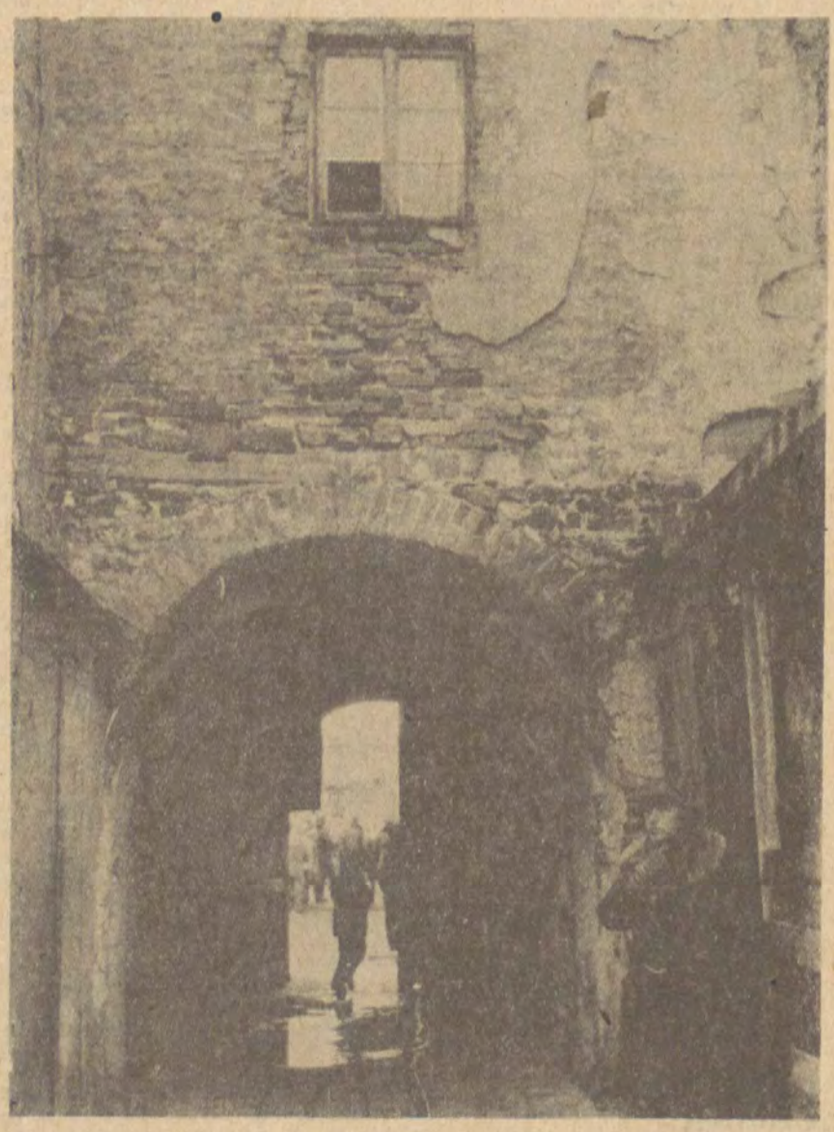

Foto: W. Pary

U PRZYJACIÓŁ

CSRS

W Czechosłowacji rozpoczęły się przygotowania do XV Zjazdu KPCz. Komitet Centralny Komunistycznej Partii Czechosłowacji wystosował list do wszystkich komunistów, organizacji partyjnych, w którym m. in. wiele uwagi poświęca się zagadnieniom kultury. W liście KC KPCz. czytamy: „Pójdziemy drogą coraz pełniejszego zaspokojenia potrzeb materialnych. Chodzi nam jednak o więcej, o to, by dalszy wzrost poziomu życia prowadził do wszechstronnego rozwoju twórczych zdolności ludzi, do podnoszenia ich wykształcenia i kulturalnej dojrzałości, do dalszego łączenia interesów społeczeństwa i jednostki".

Ostatni, XIV Zjazd KPCz. w swoich uchwałach stwierdził, że sztuka i kultura stoją przed poważnymi i złożonymi zadaniami, stanowią ważny element politycznego i kulturalnego wychowywania milionowych mas. Z podjętych uchwał jak i praktyki ostatnich lat wynika zupełnie jasno społeczna waga kultury, gdyż kultura jest nie tylko twórczością, ale stanowi także mocne spoiwo międzyludzkie, pogłębia stosunki uczuciowe, wzbogaca uczucia, zwielokrotnia je i kultywuje. Bogata dziedzina życia uczuciowego znajduje właśnie w kulturze swe potwierdzenie i oparcie. Na stan świadomości mają wpływ nie tylko racjonalne argumenty, ale ludzkie uczucia. Nie jest więc rzeczą obojętną, jaka kultura ma wpływ na człowieka. Chodzi oczywiście o socjalistyczną kulturę, która ma kształtować socjalistycznego człowieka, jego styl i sposób życia i pracy.

W okresie przygotowań do XV Zjazdu KPCz. warto zwrócić uwagę na pozytywne przemiany zachodzące w literaturze, na przykładzie Związku Pisarzy Czeskich.

W roku 1975 pisarze czescy opublikowali o 35 tytułów oryginalnej prozy i poezji więcej niż w roku ubiegłym. Autorzy zrzeszeni w nowym Związku Pisarzy Czeskich wzięli udział w twórczych konkursach, rozpisanych z okazji 30-lecia wyzwolenia Czechosłowacji przez Armię Radziecką i zgłosili nowe zaangażowane twórcze dzieła. I tak np. w wydawnictwie „Ceskoslovensky spisovatel", gdzie w ub. roku ukazały się 32 tytuły nowej prozy, w roku bieżącym znajdują się w druku 44 nowości. Wyniki pracy ideologicznej i organizacyjnej Związku Pisarzy Czeskich są widoczne zarówno na półkach księgarskich, jak i dają o sobie znać w bardziej intensywnym życiu literackim, zarówno w Pradze jak i w poszczególnych wojewódzkich oddziałach Związku. Chodzi tu m. in. o publiczne wypowiedzi literatów w prasie, zwłaszcza w „Rudym Pravie", które są szeroko komentowane, a także o cykliczne spotkania autorskie z czytającą publicznością, których ilość poważnie wzrośnie w okresie przedzjazdowym. Wiele uwagi poświęca się młodym autorom, a także działalności teoretyków i krytyków literatury.

Ważne praktyczne skutki mieć będzie przygotowywana umowa między ZPC a Związkiem Pisarzy Radzieckich, w której na pięć lat zaplanowano konkretne przedsięwzięcia. M. in. odbędą się wspólne seminaria o podstawowych zagadnieniach twórczości literackiej, połączone z bezpośrednią wymianą doświadczeń. W Moskwie są przygotowywane kolejne wydania dzieł współczesnych czeskich autorów. Na podstawie zapotrzebowań z krajów Europy, Azji, Afryki i Ameryki przygotowywane są wspólnie z wydawnictwem „Orbis", nowe antologie literackie, które ukażą się w czterech językach światowych. Najściślejsze kontakty łączą naturalnie Związek Pisarzy Czeskich ze związkami krajów socjalistycznych.

Szczególnie wymownym dowodem pomyślnej pracy ZPC jest fakt, że w roku 1975 w szeregi związku przyjęto 30 nowych członków. Wśród nich jest siedmiu członków dawnego Związku Literatów, co świadczy o postępującej dyferencjacji postaw. Nowi autorzy to pisarze utalentowani i zaangażowani, o czym świadczą głosy czytelników i wzrost zapotrzebowania na książkę współczesną. Cały szereg nowości zostaje w związku z tym w ciągu tego samego roku wznowionych. Na ostatnim posiedzeniu Zarządu Głównego ZPC, które odbyło się pod koniec 1975 roku zastanawiano się nad ideą utożsamiania się z wielkimi dążeniami Partii we wszystkich dziedzinach życia. Zastanawiano się w jaki sposób pisarze, poprzez swą twórczość i zaangażowaną postawę obywatelską, będą działać w jednym szeregu z masami pracującymi, by dążyć do realizacji zadań, które wytyczy XV Zjazd Komunistycznej Partii Czechosłowacji.

PRASA I RADIO NA USŁUGACH CIA

Fakty zebrane przez senacką komisję do badania działalności amerykańskich służb wywiadu i podane do ogólnej wiadomości świadczą wyraźnie, iż Centralna Agencja Wywiadowcza podporządkowała swoim celom nie tylko część prasy, amerykańskiej. Już ponad 25 lat temu CIA stworzyła gęstą siatkę agenturalną w sferze środków masowego przekazu poza granicami USA. Wykorzystując tajnych agentów i subsydiując agencje informacyjne, radiostacje, gazety i periodyki realizuje CIA w różnych rejonach świata zakonspirowane operacje propagandowe, których celem jest wprowadzanie w błąd opinii publicznej drogą rozpowszechniania dezinformacji i kłamstw.

Jak podaje jeden z byłych wyższych pracowników agencji, działalność tej siatki polega na „rozpowszechnianiu informacji o świecie zewnętrznym a przede wszystkim o Związku Radzieckim, w takiej formie, żeby przynosiły one korzyści strategicznym interesom USA".

Pewne pojęcie o tym — pisze komentator „Washington Post" — jak działa ten aparat Centralnej Agencji Wywiadowczej daje niedawno opublikowane sprawozdanie wspomnianej już komisji senackiej do badania działalności amerykańskich służb wywiadowczych. 14 września 1970 roku, „Komitet 40" przy Radzie Bezpieczeństwa Narodowego USA zaaprobował tajną operację propagandową CIA, której celem było zwrócenie uwagi na „szkody, jakie poniesie Chile przy rządach Allende", Salvador Allende, działacz państwowy o przekonaniach lewicowych, był w owym czasie kandydatem na stanowisko prezydenta Chile.

Nie minął tydzień, jak w Waszyngtonie rozpowszechniono notę prasową międzyamerykańskiego stowarzyszenia prasy, w której mówiło się, że „komuniści w Chile i ich marksistowscy sojusznicy stwarzają zagrożenie dla wolności prasy w kraju". Informację tę, jak podaje sprawozdanie komisji senackiej, spitrasiła CIA i rozpowszechniła ją za pośrednictwem własnych kanałów.

Sekretarz tego stowarzyszenia, J. Caynel, który zazwyczaj redagował takie noty prasowe, poinformawał, iż dowiedział się o niej po raz pierwszy, kiedy w związku z jej publikacją zatelefonowano do niego z agencji „Associated Press". Caynel „przypuszczał" wówczas, że tekst tej noty przygotował Agustin Edwards, wydawca i właściciel skrajnie prawicowej gazety „El Mercurio", ukazującej się w Santiago i występującej przeciwko Allende.

We wrześniu 1970 roku Edwards przyjechał do Waszyngtonu, żeby zapewnić sobie poparcie USA przy realizacji planu wyeliminowania Allende z grona kandydatów na prezydenta. 15 września, nazajutrz po wyrażeniu zgody przez „Komitet 40" na przeprowadzenie tej kampanii propagandowej, Edwards spotkał się z ówczesnym dyrektorem CIA, Richardem Helmsem. 22 września, „El Mercurio" zamieścił artykuł redakcyjny, pełen dywagacji na temat najważniejszych problemów dla Chilijczyków, z których najistotniejszym jest „zachowanie wolności osobistej".

Dwanaście dni po decyzji „Komitetu 40", hiszpańska państwowa agencja prasowa EFE (Editorial Falanga Espanola) przekazała do wszystkich krajów Ameryki Łacińskiej informację, iż w Santiago odbył się wielki wiec przeciwników Allende, zorganizowany przez prawicowe ugrupowanie „Ojczyzna i wolność", który w tej informacji nazwano „rosnącym ruchem". Tego samego dnia jedna z radiostacji w Santiago wystąpiła z komentarzem politycznym. Komentator radiowy pochlebnie wyraził się o wiecu oraz skrytykował partię chrześcijańsko-demokratyczną, która wystąpiła z propozycją porozumienia z Allende. Jak podaje senacka komisja do badania działalności amerykańskich służb wywiadowczych, wspomniana wyżej radiostacja oraz jej komentator radiowy otrzymali wynagrodzenie od CIA. Ona także finansowała przekazywanie informacji agencji EFE do krajów Ameryki Łacińskiej.

W miesiąc po decyzji „Komitetu 40" przybyła do Chile grupa dziennikarzy bezpośrednio lub pośrednio podporządkowana dyrektywom CIA. Część dziennikarzy była płatnymi agentami CIA pracującymi dla gazet innych krajów, część była przeciwnikami Allende i otrzymała pieniądze z funduszów CIA, pozostałych zaś dziennikarzy wysłały do Chile osobistości, które — jak podaje komisja senacka — były agentami (CIA) na wyższym szczeblu, zajmującymi administracyjne stanowiska w organach masowej informacji.

Mimo wszelkich tajnych poczynań podejmowanych przez CIA i wszystkich jej propagandowych wysiłków, w październiku 1970 roku Allende został wybrany na stanowisko prezydenta Chile. Jak podaje się w sprawozdaniu komisji senackiej, CIA stwierdziła, iż zorganizowana przez nią 6-tygodniowa kampania propagandowa spowodowała pojawienie się „726 artykułów informacyjnych, audycji radiowych, artykułów redakcyjnych itp" w południowoamerykańskich i zachodnioeuropejskich organach informacji masowej.

Po dojściu do władzy Allende tajna działalność propagandowa CIA bynajmniej nie ustała. Tylko jednej gazecie — „El Mercurio" przekazano na pokrycie kosztów kampanii około półtora miliona dolarów. Nadal preparowano i publikowano we wszystkich gazetach artykuły dyskredytujące prezydenta Allende. Po przewrocie rządowym w 1973 roku, kiedy Allende został zamordowany, CIA kontynuowała swoje tajne operacje propagandowe w tym kraju, chociaż na nieco mniejszą skalę.

Zgodnie z informacją komisji senackiej, pierwsze niejawne operacje CIA — które organizowała ona już w 1947 roku — sprowadzały się do „propagandy i oddziaływania na organa prasowe". Do 1953 roku, mówi się w tymże sprawozdaniu komisji senackiej, CIA realizowała tajne operacje, w tym propagandowe kampanie prasowe w 50 krajach.

W części sprawozdania komisji senackiej dotyczącej Chile podaje się przykłady oddziaływania CIA na organa masowej informacji w latach 50-tych i 60-tych. Po 1968 roku agent CIA, pozostający na etacie pracowników gazety „El Mercurio", kontrolował treść informacji publikowanych przez międzynarodowy dział tej gazety. „Informacji nieprzychylnych dla Stanów Zjednoczonych, w szczególności o Wietnamie, nie zamieszczano". Dziennikarze pozostający na pensji CIA „pisali artykuły odpowiadające interesom USA".

W Centralnej Agencji Wywiadowczej funkcjonuje ściśle tajny komitet koordynacyjny, stworzony przez nią wespół z Departamentem Stanu i Agencją Informacyjną USA (USIA), który czuwa nad tym, by wpływowi działacze polityczni nie przyjmowali na wiarę wyolbrzymionych lub kłamliwych informacji, rozpowszechnianych przez tajną propagandową siatkę CIA. Za powód do stworzenia tego komitetu posłużył wypadek, który miał miejsce w początkach lat 60-tych, kiedy to CIA starała się powiększyć tarcia między rządem radzieckim a rządem chińskim. Kontrolowane przez CIA radiostacje na Tajwanie oraz w innych rejonach Azji nadawały audycje radiowe, naśladujące programy chińskich radiostacji, w których występowały z napaściami na Związek Radziecki. Jeden z agentów CIA został potajemnie przerzucony do Chin z kłamliwą wiadomością o kierownictwie chińskim. Informację tę słyszeli Chińczycy zdecydowani na ucieczkę z kontynentu i — jak opowiada były agent CIA — kiedy uciekinierzy ci znaleźli się w Hongkongu, informacja ta kursowała już po Chinach jako prawdziwa.

Później podały ją międzynarodowe agencje informacyjne i radiostacja „Głos Ameryki" (należąca do Agencji Informacyjnej USA), które rozniosły ją po całym świecie. Kiedy kierownictwo CIA w Waszyngtonie powiadomiło „Głos Ameryki", że jego informacja była sfabrykowana, stworzono niezwłocznie ów aparat kontrolny przeznaczony do informowania wysoko postawionych osobistości państwowych o tajnych operacjach propagandowych CIA.

Inna tajna operacja na Dalekim Wschodzie polegała na drukowaniu od nowa całych numerów gazet, wydawanych w ChRL. Usuwano z nich jakikolwiek artykuł i na jego miejsce zamieszczano sfabrykowaną informację, redagowaną przez pracowników CIA. Autentyczne numery gazet zatrzymane w oddziałach pocztowych współpracujących z CIA, zamieniano następnie na numery „podrobione" i rozsyłano je do prenumeratorów na całym świecie.

Po 1973 roku CIA subsydiowała londyńską służbę informacyjną „Forum World". Stworzona w 1966 roku, dostarczała ona po sześć artykułów tygodniowo 150 gazetom w 50 krajach, jak podawał biuletyn informacyjny tej agencji w 1974 roku. Niektóre artykuły dotyczyły tematów, na rozpowszechnieniu których bardzo zależało CIA. W kwietniu 1975 roku agencja „Forum World" przestała nagle funkcjonować, zaraz potem, jak jeden z tygodników londyńskich ujawnił jej kontakty z CIA.

JERZY CZECH

■ KROK, SZKODZĄCY INTERESOM EGIPTU
■ PODWÓJNA REZYGNACJA WILSONA
■ ZŁOŻONA SYTUACJA HISZPANII

Tydzień przyniósł wiele wydarzeń — oczekiwanych i nieoczekiwanych. Do pierwszych zaliczyć można np. ratyfikowanie przez Radę Państwa umowy z RFN o zaopatrzeniu emerytalnym i wypadkowym, do drugich — jednostronne wypowiedzenie przez Egipt układu ze Związkiem Radzieckim, czy też decyzję Heralda Wilsona o ustąpieniu ze stanowiska przewodniczącego Partii Pracy i premiera rządu brytyjskiego...

Wiadomość o uchwale egipskiego Zgromadzenia Ludowego, podjętej na wniosek prez. Sadata, przyjęta została w różnych kołach politycznych ze zdziwieniem. Wprawdzie **od pewnego już czasu obserwowano nieprzyjazne akty wobec Związku Radzieckiego** — nie sądzono jednak, że prez. Sadat zdecyduje się na taki arbitralny krok, przynoszący szkodę interesom arabskim. Układ między ZSRR i Egiptem, podpisany w 1971 roku, nakładał wzajemnie ważne zobowiązania, które strona radziecka skrupulatnie wypełniała. Niestety, **reorientacja polityki egipskiej w kierunku Stanów Zjednoczonych i tzw. małych kroków na Bliskim Wschodzie**, które to przedsięwzięcia nie brały pod uwagę interesów innych narodów arabskich, **podważała literę i ducha układu. Stopniowo paraliżowało to realizację wspólnych ustaleń.**

Decyzja Egiptu musi oczywiście odbić się na jego interesach. Pogłębia też izolację tego kraju w grupie państw arabskich, które ostro krytykują Kair za jego odrębną politykę — częściowych rozwiązań sytuacji bliskowschodniej. **Krok, podyktowany przez Sadata, rozdźwięki te powiększa.** Ułatwia to sytuację Izraelowi, który od dawna unika wielostronnych negocjacji na temat pokojowego rozwiązania problemu bliskowschodniego. Wszystko zaś razem może przedłużyć stan „ni wojny ni pokoju" na Bliskim Wschodzie, a więc opóźnić sprawiedliwe rozstrzygnięcia.

Dlatego też oświadczenie agencji TASS, opublikowane po decyzji Egiptu, podkreśla, iż **„odpowiedzialność za skutki, zarówno całej polityki prowadzonej przez przywódców egipskich, jak i za zerwanie układu o przyjaźni i współpracy między ZSRR a ARE, ponosi strona egipska".**

Przenieśmy się teraz do W. Brytanii i zasygnalizowanej już decyzji Wilsona o podwójnej rezygnacji. Stawia ona Partię Pracy w trudnej sytuacji, którą korespondent DPA przyrównał do sytuacji „jeźdźca, który musi zmienić konia na środku rwącej rzeki". Trudność ta polega przede wszystkim na tym, że **labourzyści są wewnętrznie podzieleni** i niełatwo znajdą polityka, który miałby wsparcie wszystkich odłamów, a co najważniejsze — sprostał palącym problemom politycznym i gospodarczym W. Brytanii. Nie bowiem wiek Wilsona (60 lat), ani długo okres kierowania partią (13 lat) i rządem (8 lat) są przyczyną niespodziewanej rezygnacji, lecz **kłopoty kraju i konieczność dokonania odnowy.**

Do sukcesji po Wilsonie kandyduje kilku polityków, spośród których **najwięcej szans daje się obecnemu ministrowi Spraw Zagranicznych — J. Callaghanowi,** starszemu od obecnego premiera o 4 lata. W chwili, kiedy te słowa dotrą do Czytelników „Odgłosów", będzie już po pierwszej turze głosowania i być może znane będzie nazwisko nowego przywódcy partii. Piszemy: być może, ponieważ w przeddzień głosowania wyrażano wątpliwość, czy pierwsza tura, w której wymagana jest bezwzględna większość głosów, przyniesie rozstrzygnięcie.

Aby zakończyć temat — dodajmy jeszcze, że **na dymisji Wilsona próbują zbić kapitał polityczny konserwatyści,** którzy domagają się nowych wyborów powszechnych.

Interesujące wydarzenia rozgrywają się również po drugiej stronie Kanału La Manche. Otóż **Francja zdecydowała, że jej waluta wychodzi z tzw. węża monetarnego.** Oznacza to, że frank odtąd będzie miał kurs płynny, a bank Francji nie będzie bronił swej waluty wobec walut innych krajów. Decyzja ta podjęta została po trzech kolejnych atakach spekulacyjnych na franka, o czym pisaliśmy swego czasu. Nie wdając się w szczegóły — stwierdźmy, że postanowienie **rządu francuskiego oznacza dalsze osłabienie systemu zachodnioeuropejskiej integracji** i świadczy o utrzymującym się kryzysie walutowym na zachodzie Europy.

I wreszcie kilka słów o Hiszpanii. Miniony tydzień przyniósł dalsze strajki i interwencje policji, a także postanowienie rządu o cofnięciu zakazu działania niektórych partii politycznych (nie dotyczy to partii komunistycznej). **Od śmierci Franco nowe władze: Juan Carlos i rząd premiera Navarro są pod stałą presją społeczeństwa, które domaga się przyspieszania procesu liberalizacji i przeprowadzenia reform.** Jednocześnie z Hiszpanii mocno odczuwalne są skutki recesji gospodarczej świata zachodniego, co nasila konflikty socjalne. Sytuacja jest więc złożona i może, jak pisze Reuter, zarysować przed krajem „perspektywę rewolucji". Takiej ewentualności obawia się najbardziej skrajna prawica hiszpańska, która w ostatnich dniach nasiliła swą działalność i czynnie przeciwstawia się najmniejszym nawet próbom liberalizacji życia w kraju. Trudno zatem wykluczać, że informacje z Madrytu awansować będą na pierwsze strony gazet.

W. SŁAWSKI

LISTY

ANATOMIA „BUNTU"

W numerze 9(951) „Odgłosów" z 26 lutego br. zamieszczony został artykuł pod tytułem Anatomia „buntu" Jacka Indelaka. Artykuł ten niezwykle ciekawie napisany, naświetla w zasadzie w sposób dość prawidłowy atmosferę i stosunki panujące w Państwowym Ośrodku Hodowli Zarodowej Bogusławice.

Autor nie ustrzegł się wprawdzie pewnych nieścisłości, których uniknąłby, gdyby zechciał szereg faktów i spraw natury organizacyjno-produkcyjnej skonsultować z jednostką zwierzchnią w stosunku do POHZ Bogusławice, a której siedziba znajduje się w Łodzi.

Dla podniesienia chyba pikanterii artykułu autor jego ukazuje w treści moją osobę w formie znacznie odbiegającej od prawdy, a zatem krzywdzącej mnie, a nawet w pewnym stopniu obraźliwej dla mnie. Nie jest mi znany protokół, na który autor powołuje się w swojej pierwszej wzmiance dotyczącej mojej osoby. Nikt mi takiego dokumentu nie pokazywał, jak również nikt ze mną na temat zamieszczonych tam stwierdzeń odnośnie mojej osoby nie rozmawiał. Mogę mieć uzasadnione obiekcje czy we wspomnianym dokumencie wszystko odpowiada prawdzie. Rzecz dotyczy pewnego incydentu, który miał miejsce w roku 1972 a dotyczył krańcowego niedbalstwa graniczącego niemalże z sabotażem ze strony dwóch pracowników POHZ Bogusławice pracujących w tym czasie na polach Lubiatowa przy zbiorze zielonej masy. Dyrektor POHZ ob. Wiszniowski dnia tego był nieobecny w przedsiębiorstwie ze względu na konieczny wyjazd służbowy do innego województwa. W przypadku tym świadkami zaistniałych faktów byli pracownicy Łódzkiego Przedsiębiorstwa Hodowli Zwierząt Zarodowych inż. Andrzej Piotrowski oraz Kazimierz Kotarski, którzy mi towarzyszyli. Osoby te nie związane dzisiaj zupełnie z moją osobą mogą obiektywnie naświetlić sprawę. Inspektor Kazimierz Kotarski od dwóch lat przebywający na rencie zamieszkuje w Łodzi przy ul. Śląskiej nr 158 zaś Ob. inż. Andrzej Piotrowski jest obecnie głównym zootechnikiem w POHZ Dargowo k. Elbląga.

W innym miejscu cytowanego wyżej artykułu jest napisane:

„...obecny w owym czasie na zebraniu dyrektor Zjednoczenia Bobrowski wziął tę uchwałę w dwa palce, by nie splamić sobie ręki i wymachując nią pod nosem sekretarza oświadczył, że taka uchwała dla dyrektora nic nie znaczy i postąpi on jak będzie uważał...".

Stwierdzenie to jest od początku do końca wyssane z palca i zupełnie nie odpowiada prawdzie. Świadkiem rozmowy na temat uchwały był dyrektor POHZ Wiszniowski oraz również wyżej wspomniany inspektor ŁPHZZ w Łodzi Kazimierz Kotarski. Pragnę w tym miejscu wyjaśnić, że na stanowiskach odpowiadających dzisiejszemu pracuję od 23 lat. W tym okresie moja praca i stosunek do spraw, za które odpowiadam zostały ocenione w postaci 5 odznaczeń państwowych. Mój staż na zajmowanym stanowisku oraz piastowanie szeregu odpowiedzialnych funkcji społecznych i partyjnych w byłym Komitecie Wojewódzkim PZPR w Łodzi oraz Komitecie Wojewódzkim PZPR w Olsztynie są chyba dostatecznym dowodem mego odpowiedniego reagowania na zaistniałe fakty, z którymi na co dzień muszę się stykać.

Przekazując niniejsze pismo do redakcji proszę o zajęcie takiego stanowiska, które stanowić będzie dla mnie odpowiednią satysfakcję za zaistniały nietakt w stosunku do mojej osoby.

inż. JERZY BOBROWSKI
dyrektor
Okręgowego Przedsiębiorstwa
Hodowli Zwierząt Zarodowych

Autor powyższego listu żąda satysfakcji za zaistniały nietakt w stosunku do Jego osoby. Nie wiem, czy wystarczającą dla niego satysfakcją będzie, jeśli przeproszę go publicznie za owe cytaty, zawierające Jego nazwisko. Przepraszam jednak za sam fakt ich przytoczenia (chociaż dziennikarz ma do tego p r a w o), za ich bowiem zawartość — przepraszać w żaden sposób nie mogę. Po prostu: adresat nie ten. Dyr. J. Bobrowski stwierdza ponadto, że protokół, który cytowałem w moim reportażu, jest mu nieznany. Nie zmienia to jednak faktu, że dokument taki istnieje. Za to zaś, że dyr. J. Bobrowski nie zapoznał się z nim, bynajmniej nie ja ponoszę odpowiedzialność. Wyjaśnienia te, mam nadzieję, są wystarczające...

J. INDELAK

☆ ★ ☆

SZKIC DO PORTRETU POLONISTY

Lektura artykułu Janusza Marchewy w numerze 10 „Odgłosów" skłoniła mnie do kilku refleksji. Zacznijmy od tematu, w którym zresztą nie mogę doszukać się najmniejszego związku z tytułem: „Szkic do portretu polonisty". Kiedy i przez kogo portret ten będzie namalowany, skoro już w chwili obecnej, z ochotą gromadząc drukarską farbę, autor z zadowolenia zaciera ręce i szykuje się do pracy. Nie dziwie się więc polemice ze stwierdzeniem J. Wołczyka: „publiczna krytyka nauczyciela w prasie, radiu i telewizji powinna być zakazana". Autor tych słów wytrąca przecież z rąk ewentualnych dyletantów temat tak wdzięczny, temat w którym babrza się całe pokolenia „złotych raczek" dziennikarskiego fachu, co to i o tym lub owym z jednaką swadą i swobodą gotowi są pisać. Nie trzeba, sądzę, tłumaczyć, że intencją autora cytowanych słów było oddanie dyskusji nad tematem poważnym w ręce ludzi kompetentnych.

Poza tym zamykającym artykuł stwierdzeniem pozostałe wnioski i analizy są nader słuszne: nic ująć, nic dodać. Obszerne, nader obszerne cytaty z tekstów innych autorów dokumentują sprawę. Wydaje mi się tylko dziwną metodą tworzenia jaką Janusz Marchewa zastosował. Mamy więc cytat, a następnie jego komentowanie. Na przykład: „My, Polacy, znamy się najlepiej na medycynie, ekonomii i nauczaniu". — to niemal ludowe porzekadło wydaje się być wabikiem na czytelnika niezłym, bowiem wynika między innymi z niego, że Janusz Marchewa nie napisze artykułu. Niestety, artykuł napisał... Komentarze cytatów to kalkulacje liczbowe: dodawanie, mnożenie treści cytatów. Jak cytowany W. Podgórski pisze, że nauczyciel-polonista jest: „bez wątpienia najbardziej eksploatowany" — to J. Marchewa skrupulatnie dodając i mnożąc oblicza, że na jednego polonistę przypada 1000 prac rocznie do sprawdzenia.

Doskonałość twórczą osiągnął autor w zdaniu: „Rozbudowany system kontroli pracy nauczyciela powoduje powstawanie szeregu szkodliwych napięć psychicznych (feminizacja zawodu), wpływa na zmniejszenie efektów jego pracy".

Pod stwierdzeniem zawartym w zdaniu należy podpisać się obydwoma rękami, gdyby nie dziwne wtrącenie, które na tle całości jest charakterystyczne? Jak to więc jest? Czy napięcie psychiczne jest skutkiem feminizacji zawodu, czy feminizacja zawodu jest skutkiem napięcia psychicznego? A może jedno nie ma nic wspólnego z drugim, tylko z czymś trzecim, o czym autor już nie chciał nam powiedzieć?

Po co więc w takim razie szanowny nasz autor pisze? Z dwojga złego, gdybym miał wybierać między nieskutecznym hasłem i ciszą — wybrałbym to ostatnie. To, co J. Marchewa nazywa „konstruktywną krytyką", powołując się przy okazji na słowa czcigodnego prof. Juliusza Kleinera, jest tylko niepokojącą próbą wkraczania w problematykę, w której nic oryginalnego nie ma się w tej chwili do powiedzenia. Nie sądzę, żeby tego typu artykuły poprawiły sytuację „najbardziej eksploatowanych", stwarzają tylko złudne przekonanie, że ktoś kompetentny problemem się interesuje, że będzie się im dzięki temu pracowało lepiej i uzyskają pełnię satysfakcji z wykonywanej pracy.

TADEUSZ KOBEK
(Sochaczew)

Cieszy mnie, że Tadeusz Kobek przeczytał mój „Szkic do portretu polonisty". Cieszy także fakt, że znalazł czas, aby o tym napisać. Jednakże z przykrością muszę stwierdzić, że nie ma się o co spierać, jako że Tadeusz Kobek nie ma uwag merytorycznych, jedynie nie podoba mu się sposób przedstawienia zagadnienia. A o gustach nie należy dyskutować.

JANUSZ MARCHEWA

☆ ★ ☆

„TRZEBA PATRZEĆ DALEKO"

W sylwetce kandydata na posła inż. arch. Bolesława Kardaszewskiego pada stwierdzenie o konieczności szukania rezerw. Nie trafniejszego, gdyż rzeczywiście wykorzystanie istniejących rezerw może stać się źródłem naszego bogactwa. Ale jako obywatela lojalnie płacącego podatki oburzają mnie wszystkie przejawy marnotrawstwa, bo mam świadomość, że czyjeś partactwo opłacane jest ze społecznej, a więc i z mojej kieszeni.

Oto jaskrawy przykład takiego marnotrawstwa, które zaobserwowałam jako mieszkanka Dąbrowy. Mniej więcej wiosną roku ub. u zbiegu ulic Niższej i Broniewskiego zaczęto budować rondo, na skutek czego zamknięty został ruch na ulicy Broniewskiego. Było to uzasadnione potrzebami drogowców. Od paru miesięcy rondo zostało oddane do użytku, ale ulica Broniewskiego jest dalej zamknięta. Zabrakło dobrych chęci: wykończenia nawierzchni na długości mniej więcej 30 — 40 m. Skutek? Cały szereg linii autobusowych wydłużyło się znacznie z powodu objazdu. Co dzień zużywają na próżno dziesiątki litrów ropy autobusy „C", „61", „69", a autobus linii „70" stanowiący dogodne połączenie Dąbrowy z Widzewem nie dociera do centrum osiedla. Wydłużyły się nie tylko linie, ale i czas przejazdów do pracy i powrotów do domu.

Nie wiem, jak wielkie ponosimy z tego tytułu straty, nie potrafię tego obliczyć, ale wydają mi się bardzo znaczne. Przy tym przykład rażącego marnotrawstwa i bałaganu ma chyba nie najlepsze znaczenie wychowawcze, może się przecież udzielać, gdy tak długo partactwo uchodzi bezkarnie. Co na to panowie redaktorzy?

MAGDALENA PREWNOWSKA

☆ ★ ☆

CZYŻBY DUCH HITLERA?

Ratujcie. Prawie 31 lat po cielesnej śmierci duch Hitlera rozpoczął w Łodzi swoją działalność. Nie uwierzycie? W ubiegłym tygodniu kupiłem za 70 zł książkę Karola Grünberga pt. „SS — czarna gwardia Hitlera". I oto führer w trosce o dobrą sławę swoich pupilów unicestwił część rozdziału od strony 80 do 113, mówiącą o światopoglądzie i zasadach edukacji SS. Natomiast część rozdziału, która mówi o udziale SS w tworzeniu piątej kolumny w Europie musiała mu sprawiać przyjemność, bo ją powtórzył, str. 113—144 i od nowa 113. Prawdopodobnie duch ten przebywa w Łódzkiej Drukarni Dziełowej ul. Rewolucji 1905 r. nr 45, bo książka po wydrukowaniu i złożeniu nie nosi śladów działalności hitlerowskiej cenzury. Może znacie jakąś drukarnię, która by brakujące strony 83—113 wydawała w formie broszurki? Bardzo proszę — przekażcie tam mój adres z prośbą, by mi przesłali takową za zaliczeniem pocztowym. Jako redakcja poczytnego pisma macie „chody wyżej", to może poczynicie starania, gdzie trzeba, aby wyświęcono drukarnię i uwolniono ją od złego ducha. Książki nie będę reklamował, zostawiam sobie na pamiątkę i na żądanie mogę redakcji zawieźć do obejrzenia.

PIOTR JĘDRZEJCZAK
(Szczawin 30)

OD REDAKCJI:

To, niestety, żaden duch, to po prostu zjawisko jak najbardziej ziemskie: b r a k o r ó b s t w o.

FOTOREPORTAŻ WŁODZIMIERZA PARYSA

SPOTKANIE

odbyło się w salach Muzeum Historii Miasta Łodzi. Było to spotkanie Czytelników „ODGŁOSÓW" z laureatami konkursu — plebiscytu „ŁODZIANIE — 1975". Odbyło się w serdecznej, ciepłej atmosferze. Przybyli na nie ci wszyscy, którzy kandydowali do miana „ŁODZIANINA — 1975" i ci, którzy miano to zdobyli: prof. OLGA OLGINA, JANINA SZYDLECKA i LESZEK JEZIERSKI.

Spotkanie to uświetniła swoim występem kapela „Familijna" Mariana Stysiaka oraz Helena Baranowska. Pisaliśmy już zresztą o tym w poprzednim numerze. Teraz przedstawiamy Czytelnikom garść zdjęć Włodzimierza Parysa z tej miłej imprezy.

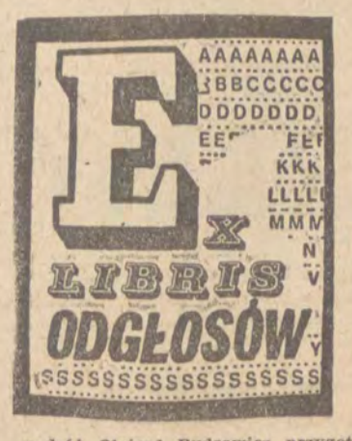

OD 18 LAT

Podróż „nie jest tylko ruchem w przestrzeni" — stwierdza na wstępie swojej książki Olgierd Budrewicz. I pisze dalej: „Podróżuje się także przez sprawy i problemy tego świata, przez jego dzieje i kulturę". Olgierd Budrewicz odbył taką właśnie podróż z inicjatywy Międzynarodowej Organizacji Pomocy Dzieciom (UNICEF).

Przed udaniem się w reporterską podróż Olgierd Budrewicz przygotował sobie ankietę, składającą się z 20 pytań. Nie była to żadna naukowa ankieta — jak sam się zastrzega — po prostu dziennikarska dokumentacja. Sporo było z tą ankietą kłopotów. Olgierd Budrewicz odwiedził bowiem wiele krajów: Szwecję, RFN, Belgię, Portugalię, USA, Meksyk, Tahiti, Samoa, Fidżi, Nową Zelandię, Australię, Indonezję, Singapur, Syjam i Kuwejt. 20 pytań do pomocniczego dziennikarskiego materiału trzeba było tłumaczyć na różne języki, a to niekiedy rodziło nieporozumienia i sprawiało kłopoty. Nie wszędzie więc ankieta spełniła pokładane w niej nadzieje, ale w sumie okazała się przydatna.

O co pytał Olgierd Budrewicz młodzież w wieku od 16 do 18 lat? Pytał o stosunek do przeszłości i przyszłości, do spraw dnia dzisiejszego. Pytał o stosunek młodych do świata ludzi dorosłych, o stosunek do lotów kosmicznych, techniki i nauki.

Jednakże nie odpowiedzi na ankietę są tematem reportaży Olgierda Budrewicza. Przedstawia on obserwacje i spostrzeżenia z reporterskiej podróży. Również tytuł zbioru może być mylący: „Świat dozwolony do lat 18". Nie jest to bowiem książka dla młodzieży, ale o młodzieży, o sprawach, które, bywając specyficzne na różnych kontynentach i w różnych krajach, są jednocześnie wspólne dla wszystkich narodów: jak wychowywać młode pokolenie, aby mogło żyć w pokoju i rozwiązywać trudne problemy końca XX i początku XXI wieku. Powstała książka niezwykle interesująca, którą powinni też przeczytać młodzi.

Olgierd Budrewicz — „Świat dozwolony do lat 18", „Iskry", Warszawa 1976, str. 270, cena zł 52.

ZA 100 LAT I WCZEŚNIEJ

W „Bibliotece problemów", jako 213 tom, ukazała się książka Jean-Marie Poursina pt. „Ludność świata". Oto kilka danych z tej książki:

— W połowie 1970 roku było nas — według szacunkowych danych ONZ — 3,6 miliardów.

— Przyrost naturalny w skali świata wynosił 2 proc., ale w Afryce — 2,6 proc., w Azji — 2,3 proc. (w Azji Południowej — 2,7 proc.), w Ameryce Łacińskiej — 2,9 proc., w Ameryce Środkowej — 3,4 proc., w Ameryce Północnej — 1,1 proc., w Europie — 0,8 proc.

— W ciągu 35 najbliższych lat nastąpi podwojenie liczby ludności na świecie, ale Afryce potrzeba na to 27 lat, Azji — 31, Ameryce Łacińskiej — 24, Ameryce Północnej — 63, Europie — 88.

— Obecnie powyżej 37 proc. całej ludności świata ma poniżej 15 lat.

— Szacuje się, że w 1985 roku — a więc za niespełna 10 lat — będzie już na świecie przeszło 4,9 miliarda ludzi.

— Za 100 lat ma nas być 30 miliardów.

Można byłoby się cieszyć z tego, że ludzkość tak pomyślnie rozwija się. Ale Jean-Marie Poursin jest innego zdania. Cieszyć się można byłoby wtedy, gdyby wraz z szybkim rozwojem ludzkości rozwijały się środki umożliwiające zaspokajanie jej potrzeb. A tu sprawa przedstawia się zupełnie inaczej. Być może — powiada nawet autor — w dalekiej przyszłości powstanie techniczna możliwość do eksploatacji dóbr naturalnych odległych planet, a nawet może kiedyś ludzkość wyemigruje z planety zwanej Ziemią i osiądzie w odległym układzie planet, krążących wokół którejś z najbliższych gwiazd. Ale jest to — jak na razie — fantastyczna hipoteza, która, aby stała się rzeczywistością, wymaga niebywałego rozwoju techniki. Trzeba więc przewidywany problem szybkiego wzrostu ludności na naszej Ziemi tu rozwiązać i to środkami dla nas powszechnie dostępnymi.

Jak to zrobić? Na te pytania stara się odpowiedzieć w swojej książce Jean-Marie Poursin. Jego propozycje, choć zupełnie realne, prezentowane dziś wydają się brzmieć nie mniej fantastycznie, jak ewentualna kolonizacja innych układów gwiezdnych. Jednakże ludzkość ma do wyboru: albo te pozornie fantastyczne pomysły, lub własne wyniszczenie. Trzeba się będzie na coś decydować, jakieś rozwiązanie wybrać. I stanie się to nie za sto lat, ale znacznie wcześniej.

Jean-Marie Poursin — „Ludność świata", PWN, Warszawa 1976, str. 198, cena zł 20.

NOWE SPOŁECZEŃSTWO PRZEMYSŁOWE

Dokonująca się rewolucja naukowo-techniczna rodzi różne koncepcje społeczne, które rodowód swój biorą też z potrzeby ideologicznej dyskusji z socjalizmem. Wśród takich koncepcji są i te, które traktują o nowym społeczeństwie przemysłowym. Witold Morawski dokonał rzeczowej analizy tych koncepcji, a także ich krytyki. Zrekonstruował poglądy twórców tego typu koncepcji, a następnie skonfrontował je ze społeczną praktyką. Dokonał też analizy sił, które według autorów koncepcji nowych społeczeństw przemysłowych, stanowią o rozwoju tych społeczeństw.

„Przyjrzeć się tym koncepcjom warto jest także i dlatego — pisze na wstępie Witold Morawski — że, choć sformułowane z pozycji niemarksistowskich, mogą być przydatne do analizy wielu zjawisk we współczesnym świecie".

Przyjrzeć się im warto również i dlatego, że — jak sam to stwierdza — są one stosunkowo słabo znane w Polsce. „Warto — pisze autor — odnotować opóźnienie nauk społecznych w Polsce — również w porównaniu z sytuacją ZSRR — w podejmowaniu niektórych zagadnień spopularyzowanych przez omawiane koncepcje na Zachodzie".

Publikacje o nowym społeczeństwie przemysłowym stały się na Zachodzie niezwykle popularne i zyskały wielu czytelników. Książka W. Morawskiego „Nowe społeczeństwo przemysłowe. Analiza i krytyka koncepcji" stwarza możliwość nie tylko poznania tych koncepcji, ale też krytycznego, marksistowskiego do nich ustosunkowania się.

Witold Morawski — „Nowe społeczeństwo przemysłowe. Analiza i krytyka koncepcji", PWN, Warszawa 1975, str. 360, cena zł 44.

DRAMAT RICHARDA NIXONA

Richard Nixon był jedynym prezydentem w historii USA, który musiał zrezygnować ze swojego urzędu przed upływem kadencji na skutek zamieszania w kryminalną aferę. Prezydent ustąpił 9 sierpnia 1974 roku, ale afera, w którą był zamieszany trwała 25 miesięcy. Zaczęło się wszystko od czerwcowej nocy, kiedy murzyński strażnik Frank Wille wpadł na trop włamywaczy w waszyngtońskim kompleksie gmachów zwanych Watergate. Od nazwy kompleksu gmachów w Waszyngtonie wzięła też swoje miano afera. Zataczała coraz szersze kręgi, aż pewnego dnia wszystkie nici zaczęły prowadzić w kierunku Białego Domu. Okazało się jednak, że tak na prawdę, to wszystko zaczęło się znacznie wcześniej.

Maksymilian Berezowski był korespondentem akredytowanym przy Białym Domu. Przez 5 lat pobytu w USA miał okazję przyjrzeć się R. Nixonowi, zebrać sporo dokumentów, zarejestrować fakty i różne opinie. Z tego materiału powstała ciekawa książka, zawierająca wartko toczącą się akcję, dostarczająca wiele interesującego, poznawczego materiału. Odpowiada ona na pytanie: dlaczego mogło dojść do afery kryminalnej, w którą zamieszany był prezydent USA?

L.W.

Maksymilian Berezowski — „Kariera Richarda Nixona", Książka i Wiedza, Warszawa — 1975, str. 294, cena: zł 25,—

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

Wyjątki z „Kultury"

W redakcyjnej dyskusji w „Kulturze" na temat ruchu wydawniczego Dominik Horodyński zademonstrował książkę. Cytujemy: „Sądzę, że obyczaj publicznego zwracania uwagi niektórym wydawnictwom na zdumiewająco lekkomyślne szastanie papierem byłby dziś jak najbardziej na czasie. Przykładów niestety nie brakuje. Oto wypadek szczególnie jaskrawy, oglądnijcie: „Treliński, jeden wyraz — Treliński przez całą książkę. Wyszło to w Łodzi".

Pan Horodyński udaje naiwnego, albo rzeczywiście nie wie, o co chodzi. Mówi o wydawnictwach, a daje przykład wątpliwego — co prawda — dowcipu z katalogiem wystawy plastycznej.

Ale pan Horodyński rzuca od niechcenia jedno zdanie: „Wyszło to w Łodzi". Czytelnik, który nie widział tych paru stroniczek wydanego bodaj przed dwoma laty katalogu-happeningu Trelińskiego, ma prawo posądzać Wydawnictwo Łódzkie o aberację umysłową. Jeżeli już jesteśmy przy kuriozalnych drukach, to pan Horodyński miał bliżej, bo w Warszawie — osławione publikacje Partuma.

Rozumiem, że chodziło o efektowny wtręt do rozmowy na temat oszczędności papieru. Ale jakaś lojalność obowiązuje — nawet jeśli się nie chce widzieć różnicy między katalogiem wystawy a literaturą.

W ogóle „Kultura" ma niebanalne „wejścia" na temat Łodzi. Otóż wystawiono w Teatrze Powszechnym „Szwejka" wg Jarosława Haszka — z Romanem Kłosowskim w roli tytułowej.

Spektakl jest rzeczywiście interesujący, reżyserował go młody filmowiec, Janusz Zaorski, scenografię projektował Andrzej Czeczot i Wojciech Wołyński (nawiasem mówiąc ten ostatni — student szkoły filmowej). Kłosowski w roli Szwejka oczywiście świetny.

Lecz co się wyrabia dalej. W „Kulturze" ukazuje się recenzja pióra młodego filmowca (to już trzeci w tym przedsięwzięciu). Wszystko się tu recenzentowi — oczywiście — podoba. I reżyseria młodego filmowca Zaorskiego i scenografia Czeczota i filmowca Wołyńskiego, ba, nawet oświetlenie, które aranżował filmowiec Zygadło... No i kreacja Dyrektora Teatru.

Do tego miejsca wszystko jest w porządku, bowiem te wszystkie elementy i nazwiska na pochwałę rzeczywiście zasługują.

Ale dalej już zwykły, typowy dołek. Rzecz się przecież dzieje w Polsce gdzie, aby jednego pochwalić, trzeba drugiego kopnąć. Sama pochwała bez kopnięcia sąsiada nie liczy się na giełdzie.

Tak więc młody filmowiec-recenzent pisze o Kłosowskim: „...wiadomo, że ze stereotypem i z przyzwyczajeniami widowni trudniej wojować niż nawet z własnym, rozleniwionym zespołem". A potem jeszcze na koniec, po oddaniu ukłonów reżyserowi, scenografom itd. z dyrektorem na czele — pisze, że „przedstawienie nie jest wolne od słabości". Oczywiście ową słabością jest zespół teatru. Zespół nie tylko nie dorównuje wykonawcy głównej roli, ale nawet — uwaga — „nie próbuje mu dorównać".

Czyli — już zupełnie po oczach. I jeszcze zgrabny cytacik ze Szwejka: „nie wszyscy mogą być mądrzy — głupi muszą stanowić wyjątek, bo gdyby wszyscy ludzie byli mądrzy, to na świecie byłoby tyle rozumu, że co drugi człowiek zgłupiałby z tego".

Naprawdę nie wiem o czym te dwa wyjątki z „Kultury" świadczą: w każdym razie ja jestem ten „co drugi człowiek", bo mam wrażenie, że zgłupiałem. Albo jestem za naiwny na metody nie tylko młodych i nie tylko filmowców.

WIDOK

LEWYM OKIEM

Wczasy z pamiętnikiem

W Rudnie koło Kołbieli, w zabytkowym pałacu, przejętym przez Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa, ma być urządzony Dom Pamiętnikarstwa Polskiego i Polonijnego. Wzmianka o Polonii nadaje sprawie przyjemnego połysku zagraniczności, międzynarodowości, Wielkiej Światowej Wspólnoty Pamiętnikarzy. Stworzono już Ośrodek Pamiętnikarstwa Młodzieżowego oraz Ogólnopolski Klub Robotników Piszących — obie te instytucje już się ulokowały w zabytkowym pałacu. Jak widzicie — instytucje powstają tym łatwiej, czym trudniej znaleźć dla nich racjonalne uzasadnienie. Co będzie robić młodzież w Domu Pamiętnikarstwa Polskiego? Czy młodzież siądzie tam i zacznie pisać pamiętniki? O czym? O swoich przeżyciach na wielkiej pauzie i o cierpieniach związanych z niepójściem do kina?

Pasjami lubię czytać pamiętniki, to jest jakby zaglądanie przez okno do wnętrza mieszkania, to są najbliższe — choć oczywiście nie identyczne z obiektywną rzeczywistością — odwzorowania tej rzeczywistości z lat minionych, takiej czy prawie takiej jaką była, bez zdystansowanego komentarza, bez deformujących uogólnień. Ale odrzuciłbym natychmiast każdy pamiętnik, gdybym podejrzewał lub wiedział, że pisał go ktoś dla pustej zabawy, w ramach obowiązkowych zajęć organizacyjnych, w wyniku i z wykorzystaniem tysiąca doświadczeń, „wymienionych" z podobnymi sobie hobbystami. Po co będziemy jeździć do Kołbieli? Na wczasy z pamiętnikiem?

Jeżeli ktoś nie odczuwa wewnętrznej potrzeby utrwalenia swych przeżyć, spotkań z wybitnymi ludźmi, udziału w znaczących wydarzeniach, a tym bardziej jeżeli sam nie był postacią ważką, wybitną, znaczącą — to po co zawracać mu głowę, dopingować, zachęcać: wspominaj, kochany, wspominaj, przyjedź do Kołbieli, opłać składkę członkowską i bądź Polskim Pamiętnikarzem...

Pamiętniki pisali zawsze ludzie starzy, oprócz Janusza Minkiewicza, który spisał swe wspomnienia mając trzydzieści lat i publikował je na bieżąco w „Nowinach Literackich" w 1947 roku. Ale tu była sprawa jasna: tutaj honorarium też było na bieżąco i pamiętnik musiał być atrakcyjny literacko, bądź dziennikarsko, niekoniecznie zaś zgodny z prawdą. To były raczej felietony niż pamiętnik, a Minkiewicz nie był nawet członkiem Ośrodka Pamiętnikarstwa Młodzieżowego...

Poza pamiętnikiem można jeszcze prowadzić dziennik — i może to o ten rodzaj zapisywactwa chodzi kołbielskim instytucjom? Dziennik, czyli notowanie dzień po dniu, czy raz na parę dni, spraw i uczuć doznawanych aktualnie; notowanie dzisiejszym swoim językiem, z dzisiejszym rozeznaniem sprawy, z uczciwym zachowaniem wierności własnym sądom i upodobaniom. Taki dziennik staje się bardzo często cennym i interesującym dokumentem, ujawnić go można — jeśli autor nie pisał z góry pod publiczkę — po wielu latach, raczej po śmierci autora, boć powinny tam być i drastyczności różne, i sądy krzywdzące, a radykalnie zmienione przez późniejsze wydarzenia. Proszę bardzo, kto ma na to ochotę niech sobie pisze dziennik, jeśli jest ciekawym człowiekiem to jego zapiski mogą być też ciekawe, a dla niego samego niech stanowią zajęcie ulubione, spontaniczne. Z tym jednakże warunkiem: nie dać się zdominować przez własną pisaninę. Nie patrzeć na każdą rzecz, sprawę, człowieka pod kątem: jak też ja go opiszę... Nie zmyślać przeżyć, nie rozdymać ich na siłę po to, żeby się stały godne zanotowania. Nie łudzić się wiekopomną wartością swego dziennika, jego znaczeniem dla Sprawy Polskiej i Polonijnej. Wydaje mi się, że ten warunek narażony jest przez wielkie a obgadywane tu instytucje na zlekceważenie i całkowite zignorowanie, mimo niewątpliwie dobrych chęci Towarzystwa.

I co jeszcze w Domu Pamiętnikarstwa? Wymiana doświadczeń? Ależ dziennik tym bardziej jest autentyczny, a więc tym cenniejszy, czym bardziej osobisty i indywidualny! Wymiana doświadczeń pamiętnikarzy może łatwo stać się wymianą przeżyć i sądów, nic nam po takich pamiętnikach. Nie wymieniajmy i — na litość boską — nie ugadniajmy! Stwórzmy lepiej Dom Wędkarza Polskiego (raz już taki miał powstać — w Warszawie — i prasa go jak najsłuszniej wyśmiała), albo Dom Opowiadacza Kawałów Polskich i Polonijnych. Z Ośrodkiem Kawalarza Młodzieżowca i z Pracownią Dowcipów dla Panów Po Wojsku. Sam pojechałbym posłuchać...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

COKOLWIEK ZA DŁUGO

Warszawski „Express Wieczorny" doniósł na pierwszej stronie pod wielce wymownym tytułem: „Każdy dom inny". W Warszawie powstaje osiedle jakiego jeszcze nie było". Lista pretensji pod adresem architektury nowych osiedli jest długa i bogata. Nie ma potrzeby powtarzać licznych zarzutów. Przypomnę tylko, że koronnym jest monotonność. W różny sposób próbowano ją przełamać, operując przede wszystkim kolorem, ale rezultaty okazały się mniejsze od oczekiwanych. Winna jest — jak wszyscy zgodnie przyznają — wielka płyta. Z takich samych elementów nie da się ułożyć wielu kombinacji. Nowe bloki muszą być więc jednakowe lub bardzo do siebie podobne. Potrzeba nam przede wszystkim nowych mieszkań, a czy będą one w takich samych blokach czy w różnych — dziś to sprawa mniej istotna.

Dziś być może jeszcze tak, ale jutro? O jutrze pomyśleli warszawscy architekci: główny projektant dr arch. Krzysztof Tauszyński i jego współpracownica inż. arch. Maria Wyszkowska. Postanowili zaprojektować osiedle, które będzie się składało z 30 bloków i w którym ani jeden blok nie będzie podobny do drugiego. Wszystkie będą inne. Stawiać to osiedle będą brygady Kombinatu Budownictwa Miejskiego „Północ" i już pierwsze budynki gotowe będą z początkiem 1977 roku, a więc o rok wcześniej niż pierwotnie zakładano.

Można powiedzieć: — wiadomo stolica, co jest do zrobienia w Warszawie, to nie u nas. Kiedy słyszę coś podobnego zawsze zastanawiam się, dlaczego? Dlaczego niby gdzie indziej coś jest do zrobienia, a u nas nie. W końcu nowa Polska powstaje nie tylko w Warszawie, a tworzy ją codziennym wysiłkiem cały naród. W każdym miejscu. Tworzymy i my nową Łódź i chcielibyśmy, aby była godna tego, co powstaje w całym kraju. Aby była godna nowych czasów, nowoczesności, do której zmierzamy.

Warszawskie osiedle „jakiego jeszcze nie było" powstaje z wielkiej płyty produkowanej na Jelonkach. Nie tworzy się więc specjalnej technologii budowania dla osiedla „jakiego jeszcze nie było". Składać się ono będzie z różnej wysokości budynków, a wśród nich od dawna już nie projektowanych w Warszawie budynków 4-kondygnacyjnych (3-piętrowych). Całe osiedle podzielone będzie na 4 kolonie, a w każdej szkoła, pawilony handlowe, usługowe. Kryty basen dla całego osiedla.

Jeśli uważnie przyjrzeć się idei osiedla „jakiego jeszcze nie było" to można dostrzec, że właściwie nie ma w tym zupełnie nic nowego. Wszystko już było. Pomysł warszawskich architektów polega tylko na tym, aby wszystko, co już było zebrać w jednym miejscu i stworzyć tym wrażenie różnorodności. Pomysł prosty i można przypuszczać, że wcale nie taki znów drogi. Czy nie można było wpaść na taki pomysł u nas?

Stało się. Warszawa buduje osiedle „jakiego jeszcze nie było". My przy ulicy Dąbrowskiego, w pobliżu ulicy Kilińskiego stawiamy dom cały niemal czerwony. Tego też jeszcze nie było. Ale przyznam, że jest pomysł nieporównywalny do pomysłu warszawskiego. Nasze usiłowania, aby zróżnicować osiedla są skromne i nieśmiałe. Czy nie można odważniej szukać nowych i śmielszych rozwiązań?

Przebudowa Łodzi jest uważnie obserwowana. Często przygodnie spotkani ludzie, dowiadując się, że jestem z Łodzi miasta, pytają: a co tam nowego? Odpowiedź: dużo — już im nie wystarcza. Pytają o Piotrkowską, o nowe dzielnice. Ludzie, którzy w Łodzi dawno nie byli, lądując na którymkolwiek dworcu dziwią się, że tyle tu się zmieniło. My koło nowego przechodzimy codziennie i nie zawsze dostrzegamy tempo przeobrażeń. Jesteśmy jednak z tego, co się dzieje w Łodzi i jak się dzieje, niezadowoleni. I chyba słusznie. Jeden sklep (bar i kawiarnia) „Hortexu" buduje się cokolwiek za długo. Już miał być gotowy w marcu, a będzie — jak zapewnia się — gotowy w maju. Łodzi są potrzebne hotele, a buduje się je w takim tempie, jakby były dla miasta luksusem.

Niedawno w „Życiu Warszawy" ukazała się rozmowa Teresy Brodzkiej z wiceprezydentem miasta — inż. Bolesławem Pietrzykowskim pt. „Nie burząc Piotrkowskiej". Ostatnio „Życie Warszawy" publikuje list dr Jerzego Płażewskiego pt. „Lubię Piotrkowską". Bardzo się cieszę, że Piotrkowską lubią nie tylko ci, którzy tu mieszkają, ale i ludzie, którzy z Łodzią kiedyś się zetknęli i czują do niej sentyment. Ale dr Jerzy Płażewski pisze nie tyle o swojej sympatii do Łodzi, co dzieli się obawami, czy „rozgęszczania zabudowy" nie prowadzi się w złym kierunku, pozwala to bowiem odsłaniać wszystko, co nigdy nie miało być pokazywane: oficyny, komórki, brzydkie podwórka. Zdaniem dr Jerzego Płażewskiego właśnie tam powinno tworzyć się skwery i trawniki, a wyburzone domy bez wartości zastępować nowymi, pasującymi do całości i godnymi naszych czasów.

Uwagi dr Jerzego Płażewskiego z Warszawy wymagają chyba zastanowienia, ale już w ogóle, jeśli można cokolwiek powiedzieć o centrum miasta, to jego koncepcja zbyt długo rodzi się w biurach projektowych. Centrum miasta ma dla Łodzi znaczenie decydujące. Jak do tej pory łączy ono wszystkie dzielnice i osiedla Łodzi, jest nadal centrum funkcjonalnym i ogromne rezultaty wysiłku przy modernizacji miasta tak długo będą mniej widoczne i mniej odczuwalne, jak długo nie dokona się przebudowy centrum miasta. A na to czekamy cokolwiek za długo.

MARCIN RODAK

magazyn

Foto: A. Wach

MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ TEATRU

FRASZKI I EPIGRAMY

DO WŁODKA

JAKUB SZELA z wszystkich miar!
A z ANGIELSKIEJ? Par sir SAAR.

DO JANKI

Piccola BOMBA! W sercu zadra,
lecz trzeba przykład wciąż brać z NIEJ...
Bo przecież tańczy jak mu zagra
SŁONECZNY balet LE SOILLE.

DO KAZIMIERZA

Aktor, reżyser, autor... SUPER-
SAM sobie sterem i okrętem;
Byś czytelniku miał pointę...
KAZIMIERZ DEJMEK. Piszę mu per!

DO ALEKSANDRA ANDRZEJA i TOMASZA

Gdy uwili gniazdka w Łodzi
rozśpiewali miasto nasze...
A mnie myśl po głowie chodzi —
Każdy FOGIEL niezły PTASZEK!

DO JADWIGI

Dyrekcja, a jakże ze swadą i hukiem
powie, że talentu już mi nikt nie wydrze...
I moje nazwisko tłustym, czarnym drukiem
pierwszy raz bić każe... Ale na klepsydrze!

Pomyślę więc, co tam z tłustych liter bicia?
A płacz mi się wyrwie z piersi niegdyś męskiej....
I tak moje imię jak zawsze za życia
pomylą z nazwiskiem JADZI ANDRZEJEWSKIEJ.

DO ZBYSZKA

Sens określić w KWARCIE da się —
Mądry Polak po NIEWCZASIE!

DO KAROLA

Ja nie śpię po nocach i tematów szukam,
A TY trząchniesz rękawem, od razu jest sztuka;
I tytuł jest i problem i nowa fabuła...
Tyś chyba nie O-BIDNIAK, lecz raczej O-KUŁAK!

DO ROMANA

Pić albo nie pić! Oto jest pytanie...
Wieczny dialog wnętrza z dyscypliny głosem;
MALINIAK lepszy? Czy też precz z mieszaniem?
Niech żyje żytnia, czysta... Ale z KŁOSEM!

DO JANA

Wbił raz SZPILKI, blisko Zgierza
pewien krytyk w TEATR PERZA...
Rzecze Perz:
— Choć on jeż,
to ja JERZYM niedowierzam!

ANDRZEJ JĘDRZEJEWSKI

WACŁAW PAWLAK

NA WOZIE I POD WOZEM TESPISA

Po wyboistym bruku miasteczka turkoczą furmanki kryte płóciennymi budami. Na wymoszczonych słomą wozach, w lekkim odzieniu przy sporym mrozie tulą się do siebie drżące z zimna postacie. Któż się domyśli, że ci zbiedzeni, godni współczucia ludzie stanowią objazdową trupę teatralną.

Na pierwszej furce jedzie dyrektor trupy w towarzystwie małżonki i znamienitszych artystów. W drugiej furce tłoczą się podrzędniejsi aktorzy, debiutanci i personel techniczny. Tabor zamyka wóz z garderobą teatralną, z dekoracjami i budką suflera.

W miasteczku trwa właśnie doroczny jarmark. Przybycie wędrownych aktorów wywołuje znaczne zainteresowanie mieszkańców i przyjezdnych. Dopytują się oni o skład zespołu, o przedstawienia, o ceny biletów. Zjawili się jak na zawołanie faktorzy teatralni, oddając się na usługi dyrektora i oferując kwatery dla aktorów.

Na parkanach i w witrynach sklepowych pojawiają się afisze teatralne. W oznaczonym na nich czasie gromadzą się przed miejscowym zajazdem wielbiciele teatru. Obszerna wozownia, opróżniona z pojazdów i czysto wymieciona, zamieniona zostaje na teatr. Rzędy łojówek zatkniętych w butelki oświetlają prowizoryczną scenę. Długie ławy sosnowe oczekują na zamożniejszych widzów, gdyż pospólstwo poprzestanie na miejscach stojących.

Tak mniej więcej wyglądały przygotowania do występu teatru wędrownego przed stu laty. Zespoły objazdowe najchętniej odwiedzały większe ośrodki administracyjne. Na Ziemi Łódzkiej gościły one najczęściej w Piotrkowie, Sieradzu, Łowiczu i Łęczycy, gdyż miasta te przeważnie posiadały wyrobioną już publiczność i budynki lub sale, nadające się dla potrzeb teatru. Do mniejszych miasteczek zaglądały głównie paroosobowe grupy mało znanych lub początkujących aktorów. Dawały one przedstawienia w zajazdach, szopach strażackich, obszerniejszych stajniach i stodołach.

Teatry wędrowne szczególnie często nawiedzały Piotrków, miasto urzędnicze, stosunkowo zamożne i nawykłe do oglądania widowisk. Już około 1828 roku dawała tu przedstawienia trupa Juliana Miłkowskiego, ojca znanego literata T. T. Jeża. Później zaglądały do Piotrkowa towarzystwa aktorskie Wincentego Raszewskiego, Franciszka Stobińskiego, Jana Okońskiego. Przed publicznością piotrkowską wystąpił także teatr krakowski pod dyrekcją Juliana Pfeiffra.

W 1867 roku bawił w Piotrkowie Anastazy Trapszo z doborowym towarzystwem, w skład którego wchodzili między innymi Józef Teksel i Bolesław Leszczyński. W zespole Trapszy wystąpił trzykrotnie w tragediach szekspirowskich sławny aktor murzyński Ira Aldridge, który wkrótce zmarł w Łodzi, gdzie też został pochowany na Starym Cmentarzu.

Występy trup wędrownych w grodzie trybunalskim odbywały się początkowo w kościele pofranciszkańskim, później zaś w sali resursy obywatelskiej. Od 1868 roku Piotrków miał już stały budynek teatralny, wystawiony przez właściciela miejscowego browaru F. Spahna.

Dosyć częstym miejscem pobytu teatrów wędrownych było Kutno, położone na szlaku Warszawa — Poznań. Na początku 1839 roku osiadł tu Raszewski ze swoją kompanią. Zaglądali tu także Nowiński i Stobiński. W 1859 roku Pfeiffer dał w Kutnie 9 przedstawień.

Pobliskie Krośniewice nie były przyjazne sługom Melpomeny W 1860 roku bawiąca w tym miasteczku trupa Józefa Barańskiego z braku powodzenia uległa rozwiązaniu.

Dyrektorzy trup wędrownych mieli sporo kłopotu z doborem repertuaru. Pozbawieni kontaktów z współczesnymi pisarzami polskimi w kółko wystawiali doszczętnie już ograne sztuki Fredry czy Korzeniowskiego. Ażeby więc ściągnąć widza do teatru, musieli go zaintrygować różnymi pozateatralnymi atrakcjami i niskimi cenami wstępu.

W owych latach typowa trupa wędrowna składała się przeważnie z „wszechstronnie" uzdolnionej rodziny aktorskiej, stanowiącej trzon zespołu, do którego dobijali różni obieżyświaci, niedokończeni studenci, ofiary zawiedzionej miłości. Udostępniano im możliwości zdobycia sławy scenicznej, dawkując ostrożnie stopnie aktorskich zadań. Brali więc oni początkowo udział w scenach zbiorowych, jako służba, żołnierze, lud itp. Aktorzy często przechodzili z jednej trupy do drugiej, gdyż żywot zespołów komedianckich nie był długi. Przeważnie rozpadały się po pierwszym niepowodzeniu.

Niełatwe życie mieli wędrowni aktorzy, zwłaszcza ci, którym przypadło występować w zapadłych miasteczkach i osadach. W okresie zimowym marzli oni w nie opalanych szopach, latem zaś zmuszeni byli niejednokrotnie grać w dusznych stajniach. Karol Estreicher w swym dziele „Teatra w Polsce" podaje, że w Białej Rawskiej teatr grywał „w pomieszczeniu istot owies spożywających. Żłób służył za pulpit dla kapeli złożonej z czterech rzępołów. Publiczność chłodła w zapale artystycznym, bo aura, którą poprzednicy zostawili wśród ścian, zaduszała atmosferę". W innym znowu miasteczku w czasie przedstawienia zapadła się scena, pochłaniając w swych czeluściach aktorów.

Trupy i towarzystwa aktorów wędrowały od miasteczka do miasteczka, nigdzie nie zagrzewając miejsca. W większych ośrodkach grywano dłużej, w mniejszych zaledwie dzień lub dwa najwyżej. Komediantom w artystycznej wędrówce powodziło się różnie, częściej jednak byli oni pod wozem niż na wozie. Bywało i tak, iż po uszy zadłużeni aktorzy cichaczem, pod osłoną nocy umykali z miasteczka.

Dyrektorzy prowincjonalnych zespołów dramatycznych, nie znajdując powodzenia wśród publiczności, częstokroć nie wypłacali należnej aktorom gaży. Stąd też członkowie trupy zmuszeni byli dorabiać sobie ubocznie, np. baletnicy lekcjami tańca, śpiewacy — lekcjami śpiewu, chórzyści — występami na ślubach i pogrzebach. Jeśli zawodziły i te źródła dochodu, zbierano wśród mieszkańców składki na rzecz zubożałych komediantów, a panie z zamożniejszych domów wydawały kolejno obiady najbiedniejszym aktorom.

Wędrowni komedianci, pomimo całego uznania publiczności dla ich talentu, nie cieszyli się dobrą opinią. Władysław Reymont, który w młodzieńczym wieku zaznał tułaczej doli w teatrze objazdowym Jana Szymborskiego, w liście do swego brata niezmiernie ostro scharakteryzował ówczesny światek aktorski: „Przerażali mnie ci ludzie, służący niby sztuce, swoim cynicznym wyuzdaniem, swoją głupotą, pyszałkostwem zapoznanych kretynów, ignorancją i nieznajomością najkardynalniejszych już nie zasad etycznych i estetycznych, ale przepisów wprost ludzkich..."

Trudny zawód wędrownego aktora wykolejał nawet wielu ludzi. Nie dziw więc, że utarł się wtedy pogląd, iż każdy aktor to ladaco i lekkoduch. Ta krzywdząca ogół aktorów opinia pokutowała długo, niemal że do naszych czasów.

Teatry wędrowne — pomimo trudnych warunków, w jakich działały — odegrały niepoślednią rolę w rozwoju rodzimej dramaturgii. Należy bowiem pamiętać, że na deskach i klepiskach szop, wozowni, ujeżdżalni służących niegdyś za przybytki Melpomeny, stawiali pierwsze kroki niemal wszyscy późniejsi mistrzowie sceny polskiej. W twardej szkole wędrownego teatru wykształciły się takie znakomitości, jak Helena Modrzejewska, Ludwik Solski, Bolesław Leszczyński, Stefan Jaracz i wielu innych.

GARNITURY MODNE, ELEGANCKIE W WIELU FASONACH –
NA KAŻDĄ OKAZJĘ

POLECAJĄ SKLEPY
ŁÓDZKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA HANDLU ODZIEŻĄ „O T E X"

otex otex otex

- ul. Piotrkowska – 15, 49, 81, 78, 207,
- Dom Handlowy „TEOFIL" – Aleksandrowska 38
- ul. NOWOMIEJSKA 5

„Otex" zaprasza również do sklepów

- w ZGIERZU pl. ARMII CZERWONEJ 4
- w OZORKOWIE – ul. ARMII CZERWONEJ 19

i do sklepu „D O M I N O" w PABIANICACH

1181/K

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody pocz. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 625, R-2, Nr indeksu 26762.